

BLUSZCZ

spoleczno-literacki iilustrowany
tygodnik kobiecy



W a r s z a w a,

S o l e c 87.

telefon 2-44-18.

„BLUSZCZ“

spoleczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3

telefon 6-76-72.

Redaktorki: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelnia) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*

Dodatek „Wychowanie i szkoła“ pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Samotność w małżeństwie — *N. J.* Nieumyślna cnota — *Wanda Melcer.* Magda i Walter — *Aniela Waldenbergowa.* Polacy w Indjach — *Hanna Skarbek-Peretjatkowicz.* Strzelczynie — *Halina Piórecka-Markiewiczowa.* Żegluga po wezbranej Wiśle — *Marja Dobrowolska.* Polacy w kolonji „Kenji“ — *Marja Olga Tchórznicka.* Przyjaciel emigranta — *St. Osińska.* Wychowanie fizyczne i sport. Igrzyska Polonji Zagranicznej. Podniebne wędrówki. — *Irena Pawska.* Kronika sportowa — *I. P.* Z teatrów — *S. P. O.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Podróż bez pieniędzy. Kobieta w świecie i w domu. Przed wyrokiem — *St. Osińska.* Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Ogrodnictwo i hodowla: Jesienna selekcja drobiu. Żywopłaty i dochodowe rośliny — *Marja Dąbrowa.* Bez czarny — *Remissowska.* Odpowiedzi działu ogrodniczo-hodowlanego. Dom i gospodarstwo: Zmieniamy mieszkanie — *Wanda Dobrzańska.* Przepisy gospodarskie — *Melba.* Dzieci polskie z Czechosłowacji na kolonji letniej „Osiedla“.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5,20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Solec 87 i Ś-to Krzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. — WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcz“, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.			zł.	
1/1 str. tekstu —	700.—	Okladka III-cia	}	1/1 str. okł.—	500.—
1/2 „ „ —	400.—			1/2 „ „ —	250.—
1/4 „ „ —	200.—			1/4 „ „ —	150.—
1/8 „ „ —	100.—			1/8 „ „ —	80.—
1/16 „ „ —	50.—			1/16 „ „ —	50.—
1/32 „ „ —	30.—			1/32 „ „ —	30.—
				Okladka IV-ta	} zł.

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcz“ — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ“ ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU“ powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Bliscy

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Samotność w małżeństwie

Dwa pojęcia pozornie zdawałoby się zupełnie wykluczone wzajemnie. Ludzie pobierają się przecież zwykle w myśl zasady, że niedobrze jest człowiekowi samemu, a jednak...

— Czy nie przykro panu i ciężko żyć tak ciągle samemu? — zapytuję jednego z mych znajomych, bardzo godnego i bardzo przysięgłego kawalera, w wieku, no, powiedzmy średnim, zapalonego zresztą feministę.

— Uwielbiam kobiety, ale nie zniósłbym, aby mi się ciągle, w dzień i w nocy „pętała“ po domu kobieta, abym nigdy nie mógł pozostać sam ze sobą.

Paradoksalny wyjątek? Wcale nie, to bardzo częsty objaw, częstszy, niż to przypuszczają, zwłaszcza kobiety.

Kobieta mniej potrzebuje samotności, nie jest do niej stworzona, nie lubi jej. Stąd ciągle, namiętne wzywanie się kobiety w dzieci, w dom, w przyjaciółki, stąd natrętne nieraz przyklejanie się do życia i całej psychiki męża.

Kobiety zresztą, te dawniejsze zwłaszcza, miały również swoje okresy potrzeby samotności, a jeśli nie samotności materialnej w pełnym i właściwym jej znaczeniu zupełnego osamotnienia, to w każdym razie potrzebę nieobecności męża w czasie pilnych i ważnych zajęć gospodarskich, kiedy cała uwaga musiała być napięta i skierowana na te sprawy domowe, kiedy trzeba było mieć „wolną głowę“, aby sprostać wielkim porządkom, przygotowaniom świątecznym, lub kampanji mody.

Tak samo kobiety dzisiejsze potrzebują pewnego odosobnienia dla pracy i myśli zawodowej, naukowej

lub społecznej i potrzebują jej napewno o wiele więcej.

Ten przykład jednak uzmysławia nam jedynie stronę, rzecz można, techniczną sprawy. Potrzeba chwili samotności dla wyżycia się w atmosferze psychiki własnej to jeszcze coś innego i ważniejszego bezwzględnie. Tej potrzeby mężczyźni mają bezwarunkowo więcej i jest ona głębsza i stałsza. „Dziewiczość męska“ Strindberga to nie tylko sfera seksualna, to istotne pozostanie samemu z sobą, z własną myślą, przeżyciami, z przetrwaniem własnych wrażeń, obcowanie z własną tylko jaźnią.

Wynikło to może z tego, że przez długie wieki kobieta mogła być dla mężczyzny w chwili miłosnej ekstazy „całym światem“, ale zato dla całokształtu jego życia, umysłowego, dla jego psychicznych zainteresowań była stanowczo, bardzo może miłym i drogim, ale tylko *dotatkem*. Coś jak, znów materialnie biorąc, życie kupców angielskich i handel, interes, majątek, ambicje na cały dzień w City, dom, żona, miły ogródek na dwie godziny wytchnienia na przedmieściu.

Stworzyło to taką potrzebę wewnętrznego samotnego przeżywania, że, cóż powiedzieć, ileż to razy najgoręcej zakochany mężczyzna, szuka odosobnienia, aby przetrwać swój uczucia, aby myśleć o „niej“, wcale nie w „jej“ towarzystwie!

Otóż zrozumienie tych cech charakteru męskiego jest bardzo a bardzo ważne dla szczęścia w pożyciu. Jest wiele kobiet, które nie mogą tego pojąć, które uważają każdą wolną chwilę męża za swoją własność, którą chciałyby wyssać wspólnie w ciągłej wymianie uczuć i zwłaszcza, trzeba to powiedzieć, słów.

Bo kobieta musi ciągle opowiadać, dzielić się wrażeniami, zasięgać rad, rozstrzygać wątpliwości.

W swych przepysznych feljotonach o małżeństwie, drukowanych w tym roku w „Bluszczu“, stwierdziła Magdalena Samozwaniec, że mężczyznę w małżeństwie cechuje „niechęć do rozmowy“.

Uwaga piekielnie trafna, ale czyż „on“ biedulka niema czasem racji?

Ileż mamy stadeł, w których męża, zapracowanego kamieniarsko, zaprzątniętego najważniejszymi nieraz sprawami, żona musi poinformować dokładnie o wszystkich drobiazgach domowych, o wszystkich swoich (które właśnie z kolei w jej samotności powinny być przetrawione) wrażeniach i przeżyciach!

Wszystko to w dodatku skupione i wtłoczone w ciasny wymiar czasu, w krótkie najczęściej godziny wspólnego przebywania, poza jego, a często i jej, pracą.

Nie trzeba, nie można.

Więc co? Odpowie mi napewno opozycja, więc siedzieć w milczeniu? A może, może tolerować z najwyższą uprzejmością „samotne“ wycieczki poza-domowe, dla podziału wrażeń i przeżyć np. z przyjaciółmi?

Odpowiem na to, że myślą się bardzo te kobiety, które starają się usunąć męża od jego przyjaciół, tak samo jak źle robi mąż, nienawidzący przyjaciółek żony, ale to ostatnie zdarza się o wiele rzadziej.

Nie potrzeba też milczeć chmurnie, lub lękać się odezwać, ale trzeba zawsze umieć wpaść w ton właściwego nastroju. Mogą być chwile, w których płynnie rozmowa nieprzerwana, wspólna, w których jedno drugiemu wprost dopowiadać będzie i wychwytywać każde zdanie, ale mogą być, i są zawsze, i takie momenty, w których każdy pomyśli sobie o „swojem“.

Kiedy człowiek chłonie słowa czytanej książki, lub gazety, kiedy na spacerze czy wycieczce zapatrzy się w krajobraz, słońce zachodzące, albo morski horyzont, kiedy księżyc świeci romantycznie, lub kółka szarego dymku papierosa otaczają błogiem niemyśleniem, spokojem nirwanicznym, wtedy nie maćmy cizy, pozostawmy wtedy człowieka jego wrażeniom.

Ale to żarty, ileż jednak, serjo biorąc, jest takich chwil, które człowiek pragnie sam tylko przeżywać.

oddać się sobie, przetrwać wszystko i uporządkować, użyć nawet, każdy ma to prawo, swoich, wyłączanie swoich godzin samotnych. To trzeba uszanować. Dlatego dobra, pożądana jest nieraz, nawet zupełna, materialna rozłąka chwilowa, to, co zaczyna być propagowane obecnie, np. oddzielne spędzenie wakacji, urlopu. Wyjazd, całkowite odosobnienie, psychiczna higiena wrażeń.

Kobiety nowoczesne zaczynają to rozumieć, pojęcie to przesiąkło z pracy zawodowej, z szerszych zainteresowań naukowych i społecznych. Kobieta, żyjąca takim życiem, zrozumie tę potrzebę u mężczyzny, bo odczuwa ją sama na sobie.

Nie potępijmy tej potrzeby chwilowej samotności, bo ona jest konieczna dla każdego myślącego człowieka. Im szersza kultura, im wyższy poziom duchowy, tem jej potrzeba większa. Każda miernota psychiczna goni za bezustannym pytelkiem rozmowy, obecności kogoś koło siebie, za spędzeniem czasu bez myśli, bez zagłębienia się w siebie. Każdy człowiek myślący lubi być sam z sobą.

Ta potrzeba objawia się tak samo i poza małżeństwem. Nie powinni również żądać i nadużywać ciepłej wspólności i poświęcenia sobie każdej chwili bez reszty mieszkające razem siostry, przyjaciółki, matka z dziećmi dorosłymi, (o mężczyzn niema kłopotu, oni potrafią się odosobnić) ale w pożyciu mężczyzny i kobiety sprawa ta nabiera jeszcze specjalnych cech i większej wagi. Jest w jednej z powieści Colette opis takiego męża, który wymyka się z wspólnej sypialni, aby popatrzeć z tarasu na wschód słońca i wyciągnąć się na wąskiej kanapce w hallu — samotnie. Charakterystyka psychiki tego człowieka jest arcydziełem i przeczytać ją powinna każda mężatka. Dostyc już trudne jest, zwłaszcza w początkach małżeństwa, harmonijne życie się i dopasowanie, aby jeszcze obciążać je nieustannem obcowaniem ze sobą, niepozostawieniem jedno drugiemu własnej chwili swobodnej.

Zapewne, że ludziom, którzy się kochają, miło jest być ze sobą, ale nie zaszkodzi im wcale, jeśli każde z nich zachowa swój mały ogródek psychiczny, po którym będzie spacerować od czasu do czasu solo.

Z tem większą radością i utęsknieniem powracać będą potem do chwil wspólnych i będą one istotnie wspólne, w całym znaczeniu tego pojęcia.

N. J.

W POCIĄGU NAJMILEJ SPĘDZISZ CZAS
CZYTAJĄC CIEKAWY DZIENNIKI I CZASOPISMA

Najgorsze było, że po powrocie z podróży, choć tak małej, nieobecność ojca była jeszcze dotkliwsza. Było przecież rzeczą jasną, że nie może go być w obcym mieście, choćby to nawet było miasto jego urodzenia, ale jakim sposobem nie zastawało go się w mieszkaniu po powrocie? Długo trwało, zanim można było się z tem pogodzić, ta mała podróż, choć się o tem nie myślało, stworzyła okrutne złudzenie, że on może żyje.

Ale wróćmy do tego cmentarza. Pomnik był w kształcie płyty z żółtego marmuru, na której wypisane było nazwisko ojca. Już to nieznośnie szarpało nerwy, że się tutaj widziało jego imię i nazwisko. Wokoło tej płyty dobra Karolina posadziła niezapominajki i bratki, i teraz także, wysiadając z tramwaju, kupiła po drodze na straganie u kobiety czerwone begonje, które chciała dosadzić, sądząc, że niezapominajki już zwiędły. Pod murem cmentarza sprzedające kobiety poustawiały całe rabaty kwiatów, a drobne krzaczki, z korzeniami pełnymi ziemi, leżały koło siebie, poutykane w skrzynce.

Adeli nie przyszłoby nawet na myśl, że można być tak praktyczną, bo przecież Karolina, w braku łopatki, wzięła z sobą dużą łyżkę stołową, zawiniętą w papier. Rzekiwiście niezapominajki już przwędły, trzeba je było powyciągać za włosy, za niebieskie czuby z twardej ziemi, w której uparcie tkwiły.

— I co ty powiesz, że ilebyś tej babie nie zapłaciła, zawsze kwiaty będą niepodlane?

Teraz dopiero dowiedziała się Adelia, że Karolina oddawna używa się z babą o to podlewanie, i ile się mianowicie za to płaci. Nawet nie można było dłużej płakać, bo wszystkie te sprawy były niesłychanie absorbujące.

— Pomogłabyś mi — powiedziała Karolina surowo.

Więc Adela zabrała się do kopania ziemi. Zdawało się, że tak jest jej mało, tyle, co się mieściło między płytą a ścieżką, a przy kopaniu jak gdyby narastała i ręce porządnie bolały. Była też zupełnie twarda, szczególnie w kątach, a łyżka taka już była, że przy tem poruszaniu gruntu pracowały tylko małe, najmniejsze mięśnie dłoni między palcami, mało przyzwyczajone do takiej ciężkiej pracy. Właściwie było to dziobanie, nie kopanie, chociaż dla rośliny podobno dosyć. Około bliskich grobów kręciła się już oddawna stróżka, czy

doglądaczka, stara babina, tylko czekająca na zlecenie i datek.

— Moja Józefowo, znowu niepodlane rośliny — powiedziała Karolina, na co tamta tylko jakoś nieporadnie zamachała rękami, że ni by ona robi, co może, a Adela zdziwiła się, że Karolina wie i to nawet, jak babie na imię.

Ta Józefowa zebrała zaraz wyrzucone niezapominajki, żeby je dalej odnieść, a Karolina wzięła się energicznie do sadzenia begonij, rozłożywszy je najpierw równomiernie koło płyty, jak to robią ogrodnicy. Kiedy już były wszystkie posadzone, odeszła kilka kroków, żeby się przyjrzeć swojemu dziełu i odetchnęła z ulgą.

— Dobrze, prawda? — powiedziała — razem jest kolor fuksji, zupełnie naturalna harmonja.

— Teraz trzeba je podlać — wpada na myśl Adelia, — ale niema czem.

— Oczywiście, baba znika, kiedy jest najpotrzebniejsza, ale nie myśl, że jestem taka nieprzezorna. Mam tutaj swoje zapasy.

Karolina podeszła do sąsiedniego grobu, który miał żelazne ogrodzenie pełne zawijasów.

— Pysznie, że ludzie budują takie rzeczy — powiedziała — przynajmniej jest gdzie co schować.

I wyjęła z pod parkanu owiniętą w papier butelkę.

Poszły razem po wodę, pod świeżymi liśćmi drzew, dopiero co rozwiniętych.

Żeby nie te groby, byłby to prześliczny park. I tak było tam mnóstwo pięknych kwiatów, chociaż na ogół ludzie niewiele okazywali fantazji, raczej chodziło im jakgdyby o to, żeby grób ich bliskich wyglądał tak samo, jak grób sąsiada, i trochę tylko lepiej. Ale były i groby bogate, świetnie przystrojone, usłane grubo delikatnemi, niebieskimi hortensjami, albo nawet różami herbacianemi.

Studnia dość była daleko i trzeba było długo pompować, zanim woda poszła. W bocznej alei pracowali grabarze nad świeżą mogiłą i rozmawiali głośno, jak to robotnicy. Na brzozie ptak gwizdał.

Wróciły z butelką, pełną wody i polały nowo posadzone kwiaty.

— Tak, teraz będzie dobrze, — powiedziała Karolina z zadowoleniem, i dała pięćdziesiąt groszy babie, która znów się napatoczyła. Wszvstko było naprawdę dobrze i wyglądało wcale nie groźnie, ale czyż możliwe, żeby to wszystko, co było kiedyś ojcem, leżało teraz pod tą płytą z żółtego marmuru? To była chyba jakaś metafora, niemo-

żliwe, żeby korzenie begonji miały dotknąć jego palców.

Kiedy wracały z cmentarza, Adela opowiedziała Karolinie swoje wrażenia z podróży, a także nadzwyczajne rewelacje, jakie usłyszała, a jakie dotyczyły przecież także jej osoby.

— Czy rozumiesz, jaka to bezsensowna wiadomość, że jestem prawniczką Ł—skiego? Czy zdajesz sobie dobrze sprawę, jak dalece to do niczego nie pasuje?

— Ach, very romantic indeed. — powiedziała Karolina, wywracając oczy, tak nosowym głosem, że musiały się obie roześmiać.

Ale dzień dzisiejszy nie usposobił romantycznie, i Adela na trzeźwo opowiedziała siostrze całą historję zupełnie inaczej, niż ją usłyszała w małym, oddalonem miasteczku młodości.

— To wszystko zawracanie głowy, moja droga. Pamiętam przecież doskonale, jak ojciec opowiadał o dziadku, mam przecież zresztą jego portret, przez niego samego malowany. Był to jakiś bardzo mało ciekawy gentleman, trochę artysta, malarz, literat, czy bukinista tylko, który ożeniwszy się po życiu pełnem przygód wywiózł żonę do Paryża, zapłodnił i wyrzucił. Ona przyjechała z Paryża dyliżansem, to jedno było prawdą i porodziła niewinne dziecię, mojego dziadka właśnie, nie była wszakże nigdy fille-mère, tylko zwykłą, cnotliwą mieszczką. Potem musiała oczywiście zarabiać na siebie, bo on jej nie przysyłał, a potem nawet i umarł, nie pogodziwszy się z nią. Ale stąd do szarpania jej dobrej sławy i robienia z niej przytem jeszcze meczennicy pseudo-narodowej daleka chyba droga.

— Tak — zgodziła się poważnie Karolina — ale pamiętasz chyba nowelę Chestertona z przygód księdza Browna i wnioski wyprowadzane ze sprężyn od zegarka i świętych obrazków, skąd powycinano aureole?

— I cóż z tego, panno Kercen?

— To z tego, że z tych nielicznych danych, które masz, można wyprowadzić bardzo rozmaite wnioski, a ty żadnego z nich nie potrafisz obalić. Kto ci mówi na przykład, że rzekomy pan Podolski nie spełniał przy swojej młodej żonie obowiązków świętego Józefa? A kto ci mówi, że, wiedząc o wszystkim, a raczej dowiedziawszy się po ślubie, nie opuścił jej z tego właśnie powodu? Kto ci mówi wreszcie, że ów pan wogóle istniał, że portret, którego posiadaniem się szczycisz, przedstawia wogóle jakiegoś pana

Podolskiego? Przecież na tym portrecie przedstawiony osobnik jest o wiele starszy od pięknej „babuni”. A może to jej ojciec, a może to jej wuj, a może to wogóle jakiś obcy malarz, który podarował rodzinie swoją podobiznę? I cóż ty na to?

— A przecież to nie jest takie dalekie pokrewieństwo — powiedziała rozmarzona Adela — i mogłabym z czegoś być do niego podobna. Przeczytałam jego biografję i listy, ale nie znalazłam tam ani jednej nuty, któraby dźwiękla podobnie do czegokolwiek mi znanego.

— Mówiąc poetycznie, unisono — odpowiedziała Karolina.

— Dobrze mówisz. Otóż nic podobnego. Wogóle takie biografje są wyprane zawsze chemicznie ze wszystkiego, co stwarza człowieka. Zostaje tylko postać, pomnik, diabli wiedzą co. I potem te półwarjackie listy z więzienia, kiedy już był starym człowiekiem. To jego całe uwięzienie, cóż za potworność.

— Mam nadzieję, że mi tego nie opowiesz, — mruknęła znowu Karolina, poziewając.

— Ach, masz rację, za mało mnie to interesuje. Ale jest jeszcze inna rzecz: Widziałam jego portret. Otóż naprawdę bardzo mój dziadek był do niego podobny.

Kiedy wysiadły z tramwaju na rogu ulicy, oszołomił je przez chwilę wiosenny pęd ludzki. Wszyscy

szli prędko i niewiadomo dokąd, bo przecież nie była to godzina powrotu z biur.

— Cieszę się, że nie pracuję w biurze — powiedziała Adela.

Wbrew temu, co się mówiło, nawet wiatr wiosenny był goryczą. Roznosił i rozdmuchiwał coś, co chciałoby się, żeby zagasło, co miało być przykryte popiołem, który teraz fruwał nad ziemią, a opadając, laskotał czoło i uszy. Oczy mrużyły się i przymykały w wyraz pogardliwy i senny, który był pewno poprostu jakąś szablonową, śmieszoną dla patrzących miną. Wyglądało się, jak aktorka, która rutyną chce zamaskować elementarny brak talentu. Aj, precz z tym wiosennym wiatrem.

— Karolinko — powiedziała Adela — Karolinko!

— Moja żeś ty — na to Karolina — za pan brat świnia z pastuchem.

— Jaka ty jesteś dobra, Karolinko.

— I cóż jeszcze?

— Mało ci? Mam cię tak chwalić bez końca, całą drogę? Taka jesteś zepsuta.

— Położę się na lód.

— Nie wytrzymasz, zimno. Już lepiej być chwaloną.

— Chce mi się trochę poszaieć. Jaka ty jesteś poważna, Adelo. Czy zawsze taka byłaś?

— Nie wiem, jaka byłam zawsze. Pewnie zawsze.

— Za długo siedziałam na raij-scu, a jestem, jak wiadomo, przelotnym ptaszkiem.

— Ptaszynko stukilowa.

— Przepraszam, tylko siedemdziesiąt.

A że właśnie przechodzą koło wagi, już Karolina stoi na wadze.

— Ubyło mi dziesięć deka — mówię triumfalnie — a takie chuchra, jak ty, to się wogóle nie waży, żeby ludzi nie śmieszyć.

Kilku ludzi przystanęło patrzeć, ile też waży piękna Karolina.

— Siedemdziesiąt kilo bez dziesięciu deka — powtarza Karolina głośno, zwracając się do gapiów — czy państwo myślą, że to za dużo?

Ktoś się roześmiał, inni odchodzą zmieszani. Zacerwieniona Adelia pędzi naprzód.

— Ależ ty jesteś bezczelna.

— Trzeba się bawić, muszę to robić sama, bo nikt mnie nie chce zabawiać. Ale, Adelo Podolska, muszę z tobą pomówić na serjo.

— O co ci chodzi? — pyta Adelia.

— Domyśl się. Chodzi mi o nie-szczęśliwego Andrzeja. Dlaczego właściwie tak go maltretujesz?

(d. c. n.)

Wanda Melcer.



Zwózka.

Fot. Poddębski.

Magda i Walter

Jakoś tak dziwnie zawsze się składa, że pociągi, przywożące dzieci polskie z zagranicy na miesiąc wakacyj do Polski, upodobały sobie ranną, i to bardzo wczesną godzinę.

Przez drzemiące, ciche ulice wędrujemy na dworzec. Jakoś inaczej wygląda niż zazwyczaj. Też jakby się dopieroco budził ze snu.

Komitet przyjęcia dzieci stawił się w komplecie. I oto już zajeżdżają ciężarowe samochody. Ustawiają się szeregiem o kilkadziesiąt kroków od dworca i czekają. Ostatnia platforma przywiozła orkiestrę wojskową. W porannem słońcu połyskują trąby. Jak to dobrze, że jest ładna pogoda! Nie pamiętam ani jednego przyjazdu dzieci, żeby w Warszawie przywitał je deszcz.

wychodzimy wszyscy na peron. Jest nas spora gromadka. Oto już zdaleka, na zaróżowionem niebie ukazała się, jakby ciemniejsza mgiełka. Za chwilę astmatycznie sapiący pociąg wtoczył się po szynach. Orkiestra wygrywa skoczny marsz. Gdzie dzieci? Chwila rozproszenia, bezładnej bieganiny. Tam, tam w trzecim i czwartym wagonie od końca!.. Biegniemy. Zaspani podróżni, wysypujący się z bliższych wagonów, patrzą na nas, jak na warjatów. Dorośli ludzie biegną, w ręce trzymają chorągiewki, muzyka przegrywa... Może jakiś dygnitarz przyjechał? Właśnie wysiada pierwszy oczekiwany dygnitarz, chyba nie ma więcej ponad 10 lat, a za nim drugi, trzeci, dziesiąty, mniej więcej w tym samym wieku. Z innych przedziałów zstępują po stopniach dziewczynki. Każde dziecko trzyma w ręce swój bagaż: karton, czy walizkę, czy tylko białe tekturowe pudełko, sznurkiem przewiązane. Teraz dostało jeszcze chorągiewkę. Młodszym rozjaśniły się na chwilę oczy, starsze dzieci patrzą nieufnie. Pomęczone są wszystkie. Przemówienia, do nich wygłoszonego, słuchają, ale widać, że nie wszystko rozumieją, a wogóle są sceptycznie nastrojone. Nic dziwnego! Napewno niewiele z nich spało. nietylko z powodu braku łóżka, lecz z niepokojem, jak to tam będzie u obcych, bez ojca i matki...

W Warszawie, gdzie pozostają przeważnie dzień, lub półtora dnia, jest naogół dobrze. Z początku oczywiście nie, bo kto by tam odrazu wierzył tym obcym paniom i panom.

— Niech dzieci złożą paczki w pokoju na lewo! Trzeba się umyć, niedługo podadzą śniadanie, potem, może ktoś będzie się chciał położyć, przespać!

Na pierwsze wezwanie pana Stefana nikt się prawie nie rusza. Czyżby tak dużo dzieci nie rozumiało po polsku? Po szepcie i wyrazie twarzy poznać, że dzieciaki zrozumiały wezwanie, ale... nie chcą się do niego zastosować. To zawiniątko w ręce, to cały ich majątek, to oznaka dobrobytu domowego. Zaraz poznać, że Greta jest córką zamożnego gospodarza: aż ręka jej sinieje, taki jej karton jest ciężki. Czego ona tam nie ma! I bielizna z hafcikiem i z wyhaftowaną czerwoną wielką literą i suknia marynarska z białym kołnierzem i aksamitny beret... Ludka też nie biedna. Walizkę dostała na urodziny od babki; ma w niej też niejedno. Tylko nie wiadomo, czemu Fritz nie odstawi swego pudełka! Ma też co trzymać! Głupia jedna koszula i jak połatana, dwie książki i parę trepów...

Nie wiem, skąd Fritz pochodzi, ale przypuszczam, że ze Śląska. Strasznie wybidzone są te dzieci śląskie. Widać, że od kołyski bieda jest ich towarzyszką. Zdmuchnęła im uśmiech z twarzy, w oczy zaszczerpiła smutek...

Pamiętam taki epizod. Dzieci rozsyła się po całym kraju do majątków ziemskich, na kolonje, do osiedli szkolnych i harcerskich, na plebanję. Z Warszawy po-



Chłopcy ze Śląska Opolskiego na mycieczce.

szczególne grupy jadą na miejsca przeznaczenia. Czasami się zdarza, że dwoje dzieci z jednej wsi trzeba rozdzielić, bo kolonja A. zażądała pięciu dziewczynek, a dwór taki i taki reflektuje na piętnastu chłopców, a plebanja na 4 starsze dziewczynki. Dzieciakom już jest w Warszawie dobrze, już się oswoiły, odłożyły paczki, bacząc, żeby pokój był zamknięty na klucz (specjalny dyżurny co chwila pokój otwiera, bo okazuje się, że temu chustka potrzebna, tamten wyciąga marki, dziewczynce za gorąco w swetrze i t. d. i t. d. bez końca, aż tu nagle hiobowa wieść, że Magda nie może jechać z Walterem, bo ona ma przydział we dworze na Pomorzu, a on pojedzie do majątku pod Warszawą. Płacz. Oboje stoją pośrodku sali i ona płacze. Otoczyła ich gromadka dzieci. Niektóre starają się płaczącą pocieszyć, inne przyglądają się z zaciekawieniem; jakiś starszy chłopiec uśmiecha się pogardliwie, obok młodszy smyk przysłuchuje się rozmowom, równocześnie przeskakując przez sznurek, który trzyma w obydwóch rękach. Koło żadnych sensacyj jest coraz większe. Nawet ci, co się pokładli na łóżkach, podnoszą głowy.

Biegniemy do kierownika sekcji, może możnaby jeszcze coś zmienić? Zapóźno. Już trzeba się wybrać do drogi, papiery posegregowane, dwór na Pomorzu zastrzegł sobie, że nie może ani jednego dziecka przyjąć ponad podaną liczbę... Dzisiaj wszystkie dzieci wyjeżdżają, a ta grupa na Pomorze już jest gotowa do drogi.

Dziewczynki ustawiają się dwójkami, samochody ciężarowe zajeżdżają. Pożegnania, okrzyki i — jazda. Wracamy z podwórza do sali. Jak tylko samochód ruszył, Walter zaczyna głośno płakać. Płacz jest zaraźliwy... Już kilka dzieci chlipie. Jakiś chłopiec zasmarował sobie twarz powidłami, teraz łyż ocierane chustką, mają kolor brązowy. Ogarnia nas czarna rozpacz. Perswazje nie pomagają, Walter beczy i... milczy.

Naraz podchodzi do nas mała Józia. Wiem, jak się nazywa, bo poprzednio sporo rozmawialiśmy ze sobą.

— Proszę pani, ja toby mogła tam jechać, a niech ta Magda jedzie gdzie razem z Walterem. Czego on ma tak beczeć?

— Dobrze, doskonale! Ale dlaczegoś tego wcześniej nie powiedziała? Przecież już za 20 minut pociąg odchodzi?...

Biegniemy do kancelarji. Nagwałt wyszukujemy papierów, panowie się hamują, ale w duchu napewno odsyłają nas do wszystkich djabłów, tyle pisaniny, zamętu, kłopotu. Rejestracja jest bardzo skomplikowana, każde dziecko jest wielokrotnie zapisane, musi mieć świadectwo lekarskie i t. d. Szczęśliwie już mamy papiery, mamy rzeczy Józii, mamy Józję do drogi ubraną, ładujemy się do samochodu, trzy sześć, siedem osób i jazda! Mamy piętnaście minut czasu. Samochód pędzi. Boże, bądź miłościw! Cudze dzieci wiozę, czuwaj nad nimi! Oczywiście naraz wyrasta przed nami zator: pogrzeb i jakiś koń dorożkarski rozłożony na jezdni. Prędziej, aby prędziej! Już dworzec. Zakręć, aż wszystkie leżymy na prawym boku, ale jeszcze widać przez okno, że pociąg stoi.

Wpadamy na peron. Za minutę odjazd! Gdzie są dzieci? Tam, tam. Gdzieżby, jak nie w ostatnim wagonie!? Jeszcze trochę sił, zaraz, zaraz! Zapłakana Magda wygląda przez okno.

— Wylaż! — krzyczymy unisono.

Wyrzucają ją prawie z pociągu, Józia wskakuje, podajemy papiery, już okno się oddala.

— Rzeczy, gdzie rzeczy? — drze się Magda.

Już beczy. W połowie peronu z okna odjeżdżającego pociągu wypada walizka, parasolka i koperta z papierami. Zbieramy skarby te i ledwie żywe wlecemy się do samochodu. Zawiadowca, który widział tę scenę zamienienia pasażerki, dowiadyuje się, o co tu chodziło. Uśmiecha się, zwalnia nas z kupna biletów peronowych. Szofer dumny, że zdążył, z zaciekawieniem spogląda na bohaterkę - Magdę. A Magda? Ociera łzy i nic... ani słowa podzięki... ani cienia uśmiechu...

— Czy ty, dziewczyno, nigdy się nie uśmiechasz? — pytam, starają się panować nad głosem. Milczenie, ale jakaś iskra zadowolenia w oczach. Dziewczynki, dotychczas milczące, zaczynają przemawiać do Magdy. Nawpół po niemiecku, nawpół po polsku, odpowiada im monosylabami.

— A dlaczegoś tak koniecznie chcesz być z Walterem? Może wy krewni? — pytam.

— Jego tata dał mi dwa złote, coby ja na niego uważała i pieniądze mu dawała, jak mu będzie potrzeba, to ja muszę!



Dziewczynki śląskie na kolonji.

Spoglądam na licznik, ileż więcej wybil ponad dwa złote!... Śmiać mi się chce i równocześnie imponuje mi poczucie obowiązku Magdy. Ojciec Waltera wiedział, komu należało powierzyć kapitały syna...

Po miesiącu, gdy znowu Warszawa na powrotnej drodze podejmuje małych gości, atmosfera jest zupełnie inna.

Dzieci zadziwiająco prędko uczą się mówić po polsku, a są takie, które poprzednio zaledwie coś nieco rozmawiały (fakt znamienity: gdy w mieszanem małżeństwie matka jest Polką, dzieci mówią dobrze po polsku, gdy ojciec Polakiem, mówią słabo, albo wcale). Pozatem dzieci stają się bardziej dziećmi. Są beztroskie, widać, że zapomniały o tem, że w domu są często tylko zawadą i niepożądanym ciężarem. Na szczęście to tylko część dzieci na wątych barkach dźwiga nadmierny ciężar troski o chleb. Te szczęśliwsze są jeszcze bardziej wesołe. Chłopcy z okolic Berlina, Wrocławia, Gdańska nie zasłaniają już twarzy, jakby w oczekiwaniu razów.

Spiewają polskie piosenki, zabierają książki polskie. Cieszą się każdą najmniejszą drobnostką. Bagaż odrazu oddali. Na wsi było im dobrze. Mają rumiane policzki, na wadze im przybyło. Zabierają ze sobą, zagranicę, wspomnienia polskiej wsi, gościnności i poczucia, że jest kraj, w którym oni są „u siebie“.

Aniela Waldenbergowa.

Polacy w Indjach

Polacy?

To pewne, że łatwiej na ziemiach hinduskich natknąć się na żywą i jeszcze jedną reinkarnację Buddy czy Krishny, prędziej spotkać możną autentycznego, zaszytego w dziupli drzewa Proroka, lub na skrzyżowaniu dróg usłyszeć gromy i błyskawice, ciskane na przechodniów przez jakiego brodatego, nowoobjawionego Mesjasza, niż z rozgwaru wieży Babel wyłowić czujnym uchem słów bodaj kilka wypowiedzianych w polskiej mowie! A już w zatraconej kędyś u podnóża gigantów himalajskich, obskurnej miejscinie Dehra-Dun, w której bli-

skiem sąsiedztwie rozbił swe pielesze pompatyczny cantonment — dzielnica białych — nie można było liczyć w żaden sposób na to egzotyczne spotkanie!

Tuż koło bazaru, pełnego tumanów kurzu, odpadków, much, tumultu w ciasnocie i smrodu, elegancka firma „Papillon“ z kokieteryjnie wykaligrafowanym szyldzikiem i złocistą peruczką w ufirankowanym oknie, była unikatem swego rodzaju. Szyld głosił (oczywiście w języku angielskim), że robi się tu, tak jak nigdzie na świecie wieczną ondulację, stwarza się na poczekaniu kreacje ostatniej mody

niewieściej, ba! podnosi się nawet spuszczone oczka (w pończosze!) No i t. d. i t. d.

Niech nikt sobie nie wyobraża (w Europie), że podobnie użyteczną instytucję spotkać można w Indjach nawet w każdym większem miasteczku. Jeżeli więc taka firma europejskich cudniek powstaje w city hinduskim, tuż bok o bok z obyczajowością azjatycką, ma chyba tylko widoki na klientelę z cantonmentu okolicznego. Ryzyko dość pokazne.

„Papillon“ zafrapował odrazu moją wyostrzoną uwagę, jeżeli się w dodatku zważy, że po kilkuty-

godniowej podróży, miast fryzury miało się wronie gniazdo na głowie. Mimo więc nieufnych przebąkiwań białych, sztywnych dam z naszej dzielnicy, pojechałam na zwiady.

W Indiach Europejczycy nie chadzają per-pedes, tembardziej do dzielnic tubylców. Jeżdżą własnymi limuzynami, czyniąc wielki alarm w wąziutkich, zapchanych ludzkim mrowiem uliczkach.

W zakładzie powitał mnie młody, ruchliwy jegomość, z rudawą bródką przyszyroną w szpic i zaraz bardzo serdecznie zaczął kusić (w języku ang.) na wieczną ondulację, która tu, w tym podłym na krasę niewieścią kraju, jest poprostu wygraną na loterii życia! Kiedy zaś doszliśmy do kulminacyjnego punktu pogawędki: „How much it will cost?“ jegomość o szafirowych oczach otworzył drzwi do sąsiedniej izdebki i zapytał melodyjnie, o jakże melodyjnie dla mego ucha:

— Melciu, ile to teraz będzie kosztować?“

Momentalnie znalazłam się, w domu, i mimo, iż na świecie było tak gorąco, że trudno było wytrzymać, uczułam jak jeszcze gorętsza fala krwi zalewa mi mocno bijące serce.

Gładkolica, z doleczkami na pogodnej, młodej twarzy właścicielka zakładu znalazła się wnet przy mnie i tak się też zaraz stało, że zaczęliśmy mówić wszyscy troje o *wszystkiem*, zapominając istotnego celu mych odwiedzin, a już najmniej troszcząc się „ile to będzie kosztować“.

W kwadrans później wiedziałam już b. wiele: że miastem rodzinnym „M-me Papillon“ jest Zakopane (Krupówki), a samego pana — Kraków Gród, że przed 15 laty młodzi, a pełni niesamowitego zapału ruszyli „piechotą“ do Indyj, aby z rąk Annie Bessant przyjąć święcenie. A później jak na taśmie kolorowej przesunął się przed memi oczyma jeszcze jeden film życia: trud i harowanie, imanie się naraz kilku zawodów aż do tego ostatniego, wędrówki od Kalkuty do Madrasu, a później coraz wyżej, wyżej w okolicy Delhi.

A oto fotografia Stasia, jedynaka. Udany? co? Uczy się w szkole angielskiej. A to mamci — która tak odważnie za p. Małcią przywędrowała na półwysep i nie zniosła klimatu... A jakie pogody w Polsce, bo jeżeli dziecko urodziło się tu... A ile tam teraz kosztuje... a mieszkanie? A jaki wogóle interes radziłaby pani założyć i gdzie?? Bo skoro się odłożyło tak żmudnie nieco grosza, to i poco *męczyć się* dłużej w tem piekle? co??



Konsulat polski w Bombaju.

Z auta rozległa się niecierpliwa trąbka. Oprzytomniałam. Poszłam prędko do wozu.

— I o czem mogłaś przez pół godziny rozmawiać z tymi ludźmi, których ujrzałaś dopiero? — dziwił się barczysty gentelman, puszczając maszynę całym pędem, — do prawdy trudno mi zrozumieć...

Zgodziłam się z nim potulnie: tak, trudno...

*
* * *

A drugie spotkanie, w kilka miesięcy później, czyż nie było znowuż fantastycznym zbiegiem okoliczności? Bo żeby na przestrzeni tych paru milionów mil angielskich, ledwo oto ruszywszy w podróż z północnych dzielnic, Peninsula, ku południu w kierunku Mysore, tak zaraz podczas pierwszego postoju w Delhi usłyszeć przy najbliższym stoliku — Nie, jak Boga Kocham, toż to...“

Ale gwar głosów obcej, twardej mowy głuszy ciąg dalszy. Złudzenie. Bo i skądże?! Tylko te dwa pło-



Flaga z orłem polskim na gmachu konsulatu.

włose podlotki z pysznymi war-koczami, taka Zośka i Maryśka w granatowych mundurkach, całe w rozfiglowanych, przy-milnych uśmiechach? Coś tam szeptały do dwóch starszych towarzyszek i wyraźnie po łobuzersku zerkały w kierunku naszego stolika, gdzie panował nakazany, uroczysty nastrój przy dinner, złożonym conaj-mniej z pięciu mało smakowitych dań.

Dziewuszki zerwały się raptem i frunęły bezceremonjalnie przez salę, niczem kuropatwy, nie doczekawszy końca całego tego napuszonego, wieczornego posiłku.

— Nie, (jak Boga Kocham... czyżby? — myślałam zaskoczona i zaraz też zakradłam się cichaczem do pokoiku, gdzie leżała księga przyjezdnych gości. Odczytałam: „La princesse P. de Varsovie“. A później, jak strzała pomknęłam prosto do apartamentów moich rodaczek, budząc znowuż zdziwienie mego towarzysza podróży.

— Bo przecież nie byłaś przedstawiona! — Może i miał rację.

Była to p. W. z Bangalوره z córkami i przybyła z kraju w odwiedzinny p. P. Same panie, tak odważnie, bez zbytnich ceregieli i eskorty wybrały się w daleką podróż. Przybywały właśnie z cudownego Benares, zwiedzały Delhi, ruszały następnego dnia do Aгры. Patrzyłam z rosnącym podziwem na dzielne rodaczki.

— Ależ Indje są, zdaje się, jedynym krajem na kuli ziemskiej, gdzie wogóle można mieszkać!! — pożegnała mnie z przemitym uśmiechem pani W. Niestety... już w kraju dowiedziałam się, że Wielka Entuzjastka Indyj pozostać miała na obczyźnie na zawsze *).

*
* * *

A w pół roku później, upiwszy się całą tą Azją na umór i mając jej dość do końca życia, miło mi było oświadczyć ze szczyptą dumy, podczas pożegnalnego, etykietalnego obiadu w gronie nowych przyjaciół, że oto w drodze powrotnej do kraju zatrzymam się w Bombaju u pp. konsulostwa Banasińskich.

— Alboż jest wogóle w Indiach konsul polski? — zdziwił się flegmatycznie jeden z moich wysmokini-gowanych sąsiadów.

— Ależ naturalnie!! — odrzekłam niedbale, — aczkolwiek powyższa placówka została zainaugurowana dopiero... w październiku r. ub.

Ale mogłam już chwalić się naprawo i nalewo, że jadę w gościnę do „swoich“. Podczas tych dwóch

*) Pani Wygardowa zmarła w kwietniu na tyfus w Bangalوره.



...od paru godzin prowadziliśmy zasadnicze rozmowy...

piekielnych dni, w najszybszym pociągu Delhi-Bombaj, grzebana żywem przez tumany kurzu, w temperaturze 110° Fahrenheita, która zamieniała mnie stopniowo w rozpalony żużel, nie przypuszczałam nawet przez moment, do jakiej zawitam oazy.

Już na wspaniałym Victoria-Terminus dworcu bombajskim powitał nas sekretarz konsulatu i zaprowadził do limuzyny, na której drzwiczkach widniał pięknie emalowany biały orzeł. Szofer na białej liberji miał guziki z połyskującymi orzełkami, biało - amarantowa atlasowa chorągiewka wesoło trzepotała się na przodzie maszyny.

Zajechaliliśmy przed białą elegancką willę na Malabar - Hill w gaju palmowym, na wzgórzu, skąd najpiękniejszy jest widok na całe kolorowe, rozsiadłe w podkowie nad zatoką miasto i rozlewne daleceanu Indyjskiego.

I znowu wszędzie emblematy narodowe; czekoladowi butler i berra, starszy i młodszy lokaje mają ponsowe pasy i także przepaski na białych turbanach z haftowanymi białymi orzełkami.

Jakże pięknie (jest w tym polskim domu i zupełnie inaczej, niż we wszystkich, najbardziej wystawnych, które danem mi było tu zwiedzać! Ani cienia oryentalizmu czy trywjalnego pomieszania stylów! Obchodzę cały ten wspaniały apartament, który wydaje mi się drogocenną szkatułą, zawierającą skondensowane fluidy polskości.

Meble wykonane już w Bombaju z cisowego drzewa, według najoryginalniejszych wzorów „Ładu”. Prostota i szlachetność w rysunku. Budzą pono powszechny zachwyt wśród przedstawicieli innych banalnie meblowanych placówek konsularnych. Kilimy zakopiańskie, kotary na drzwiach z najpyszniejszych samodziółów, poduszki z zapasek druskiennickich, pasiaki łowickie, a wszystko utrzymane w tonie spokojnych, poważnych barw: brunatno - bronzowo - popielatych, rozjaśnionych tu i tam barwnymi dzbankami i misami majolikowymi. Wszystko najprzedniejszego gatunku i „made in Poland”.

W przestronnym hallu, malowanym olejno na kolor gołębi, w Pasazykach niebieskich już zupełnie, tak wesoło odcinają się od tła furkocące w tańcu, kolorowe spódnice i wstążki krasawic z korowodów Stryjeńskiej; „Kazimierz nad Wisłą” w stalowej ramie, tembardziej drogi, bo już ostatni skoczylasowski rozmarza i napawa nieukojoną tęsknotą; „Drzeworyty” w skórzanym oprawie rwą oczy; głowa „Dziadka” odlana z brązu stoi na biurku pana konsula w samym słońcu...

Państwu Banasińskim, dwojgu nietuzinkowym indywidualnościom, których niestrudzonej energii, wysiłkom i wysokiej kulturze Polska doczekała się właśnie tak wytwornej i reprezentacyjnej centrali na Dalekim Wschodzie, należy się maksimum uznania i podziwu.

Biuro konsularne mieści się w City. I znowu otwieram szeroko oczy: obok gabinetu konsula mieści się bowiem cała ekspozycja polskich towarów: reprezentowany jest bogato Bielsk. polski len, kilimiarstwo. Pledy, chusty, koce, tęczowe włóczki i nieprzeliczone artykuły krajowej drogerji. Ekspozycję prowadzi również nasz rodak p. O. od lat kilkunastu osiadły w Indjach. Interes zaczyna iść już całą parą, mając jak najszersze Perspektywy, nie obawiając się konkurencji eksportowanej manufaktury brytyjskiej, francuskiej, no i oczywiście japońskiej i chińskiej. Niema pono takiego towaru krajowego, któryby tu w próbkach nie przywędrował z Polski, poczynając od szpilki czy gwoździa... Ha! skoro mowa o żelastwie, trudno en passant nie pochwalić się zasłyszaną na poczekaniu nowiną, gdy, przed paru miesiącami, jeden z okolicznych władców hinduskich poszukiwał na rynkach zagranicznych rur żelaznych do zelektryfikowania swego księstwa i wykorzystania spadku wody z gór, wśród licznych ofert przeszły nasze Katowice, których wyroby uznane były przez maharadżę za najlepsze i najtańsze.

Inauguracja konsulatu polskiego w Bombaju nastąpiła w październiku r. ub. i zgromadziła w apartamentach na Malabar - Hill przeszło sto osób ze sfer dyplomatycznych, rządowych, wojskowych. W gościnne progi polskiego domu przybyli również kolorowi goście miejscowej inteligencji mahometańskiej, hinduskiej, Persowie i t. d. Troskliwa przezorność pani konsulowej Banasińskiej, która jest duszą i nerwą tej placówki wykazała się w całej pełni. Podczas przyjęcia uwzględnione zostały gusta przyzwyczajenia *wszystkich* bez wyjątku zgromadzonych gości, oprócz menu mię-

szynarodowych wytworów sztuki kulinarnej, nie zabrakło również stołu przysmaków dla Mahometan, drugiego dla Hindusów, trzeciego dla Persów...

Kolonja polska w indjach? Słyszałam niejednokrotnie, że wogóle jej niema, za wyjątkiem kilku ofiarnych księży misjonarzy i krótko pasujących turystów. W istocie prawie, że niema, a jednak baczna obserwacja państwa konsulostwa zdołała wyłowić z tego blisko półtora milionowego skupiska ludzi w Bombaju fotografa Polaka, którego artystyczne zdjęcia szeroko są znane na półwyspie. Od szeregu lat mieszkaniec Indyj, ożeniony z Angielką, z młodzieńczym wciąż entuzjazmem marzy o „szklanych domach” w Polsce i szykuje się do powrotu. Drugi, szofer z zawodu, jest na dorobku. Dwóch młodocianych uciekinierów z Rosji sowieckiej, bez grosza za duszą i fachu, przybiło również do konsulatu polskiego w Bombaju i imając się każdego zarobku, oczekuje upragnionego dnia, aż będą mogli puścić się, okrężną drogą, do kraju.

Wszystkich tych obywateli Polaków pozbięrała pani konsulowa w pierwszą swoją wigilję w Bombaju i z taką wielką serdecznością ugościła tradycyjną wieczerzą, że chłopcy popłakały się, jak bóbrzy.

A kiedy na pożegnalnej kolacji ostatniego wieczora wypiliśmy mocną starckę zdrowie polskiego konsulatu, a później wszystkich nas po kolei, gdy z zaopatrzonej suto spiżarni pani konsulowej przyniesiono w puszkach poznańskich, autentyczny, niefałszowany bigosik, szynkę w galarecie, paszety i flaki, kiedy podano barszcz polski z uszkami, (na porcelanowych filiżankach i talerzach czerwieniły się orzełki!) następnie zrazy z kaszą hreczaną i grzybkami (niech kto wierzy lub nie wierzy, świeżo przybyłymi z kraju!) kiedy zakropiliśmy to wszystko śliwowicą, czułam się, jak w domu, a nie w żadnym tam Bombaju, czy innym Madrasie.

Hanna Skarbak Peretjatkowicz.

Bombaj. Maj r. 1934.

Malabar-Hill.

Temperatura 115°!!

...kiedy podano barszcz polski...





Strzelczynie na obozie.

Strzelczynie

Młodzieńczym, sprężystym krokiem maszeruje w twórcze jutro nowej Polski trzydziestotysięczna armia kobieca Związku Strzeleckiego. Granatowe spódniczki, bluzy koloru khaki i bereciki z orzełkiem strzeleckim, z fantazją nasunięte na czupryny. Akademiczki, nauczycielki, robotnice, chłopki. Te ze szczytu drabiny społecznej i z jej spodu. Wszystkie złączone jedną ideą, której służą — Strzelczynie.

Spotkać się z nimi bardzo łatwo.

Przy uprawie ogródka.



bo ze świetlic strzeleckich wychodzą przy każdej nadarzającej się sposobności, a w swych gościnnych progach serdecznie witają każdego, kto w nie wejść zechce. Są wszędzie: na boiskach, strzelnicach, pływalniach. Przy sadzeniu drzewek wzdłuż wiejskich dróg, obsłudze punktów sanitarnych i żywnościowych licznych marszów strzeleckich, we współdzielniach spożywczych i mleczarskich, przy organizowaniu i prowadzeniu półkolonij dla dzieci rodzin strzeleckich i rodzin bezrobotnych.

Mięśnie i ciało ćwiczą obowiązującą w programie wyszkolenia gotyzny wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego. P. O. S. - em, Odznaką Strzelecką i Łuczniczą, temi najwymowniejszymi legitymacjami uzdolnień fizycznych, każda prawie strzelczynie wykazać się potrafi.

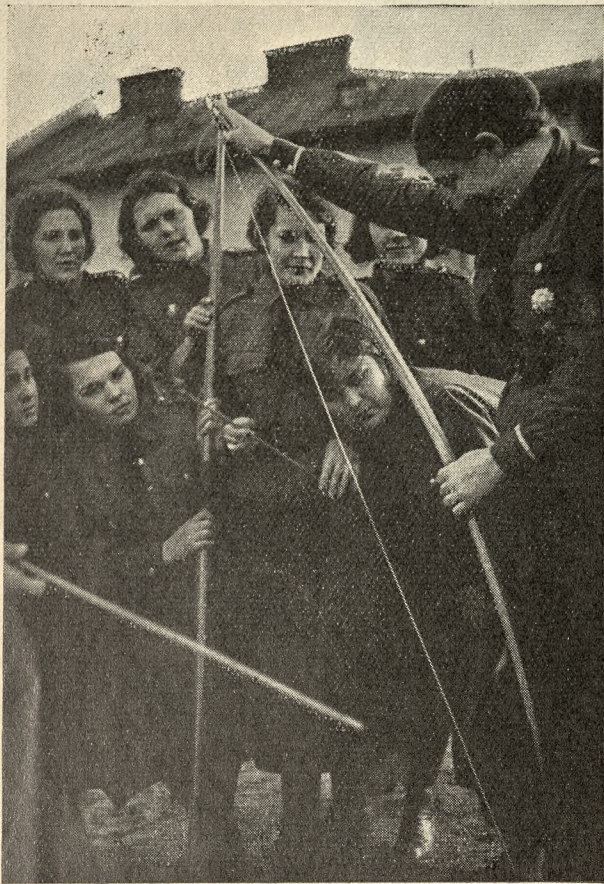
Wyszkolenie, nabyte na rozlicznych kursach, przeważnie zimowych, uzupełniają obozy letnie, organizowane rok rocznie we wszystkich częściach Polski. W bieżącym sezonie obozowym na obozach: propagandowo - robotniczych, wychowania fizycznego, gier polowych, dla przodownic gier sportowych i ruchowych, akademiczek i innych przeszkolono przeszło dwa tysiące strzelczyń. Pod białymi płachtami namiotów, w kręgu obozowych ognisk utrwala się i pogłębia przywiązywanie do organizacji i idei, którym Związek Strzelecki służy. Ognisko

obozowe przedziwne ma właściwości: w blaskach jego najlepsze powstają plany przebudowy i reformy skostniałych form życia, które potem, po powrocie do swych rodzinnych wsi i miasteczek trzeba w czyn wprowadzać. Któż, jak nie młodość musi stawać do tej pracy?

A pracy jest dużo i na każdym polu. W lecie, obok rozwijającej się coraz bardziej turystyki, przysposobienie rolnicze. Hodowla kur, trzody chlewnej i ogródki kwiatowe,

Opatrunek, uskuteczniany poprawną ręką.





Napinanie luku.

to tematy najchętniej przerabiane przez żeńskie zespoły P. R. Związku Strzeleckiego. Już dziś stare gospo-

dynie wiejskie coraz częściej między sobą prawią, że ich córkom, zorganizowanym w zespołach rolnych jednak jakoś wszystko lepiej, jak im, się darzy! A w opłotkach wiejskiego ogródka, tam, gdzie gospodynią strzelczyni, już nie dojrzyisz zieliska i pokrzywy. Mienia się barwami równe grządki i jaskrawą plamą odbijają od świeżo bielonych ścian i czystych szyb w okienkach. Kwiaty wymagają odpowiedniej oprawy i zmuszają do utrzymania porządku w obejściu gospodarskim.

Zna dobrze mundur strzelczyni dzieciarnia i garnie się tłumnie do świetlic. Mają tam urządzone zabawy, pogadanki, a bardzo często, zwłaszcza w zimie, znajdzie się dla tych najbardziej potrzebnych ciepła sukienka, cafe buciki, sweterek przez strzelczynię zrobiony, a na dodatek filiżanka odżywczego kakao czy mleka. A już najmilej bywa, gdy zabłyśnie gwiazdka Bożego Narodzenia, lub nadejdzie Święcone. Wokoło długich stołów, rozstawionych w świetlicy, chodzi z wypiekami emocji na białych buziach, wynędziała dzieciarnia bezrobotnych. Bo czego te dobre panie strzelczynie nie przygotowały dla nich w paczkach z podarunkami!

Miesiące zimowe przechodzą strzelczyniom pod znakiem wychowania obywatelskiego. Świetlice zarówno żeńskie, jak i męskie, w któ-

rych są gospodyniami, zamieniają się na salę wykładową. Przerabia się tam i omawia pod kierunkiem referentek wychowania obywatelskiego, przeważnie nauczycielek, zagadnienia ideologiczne, aktualne zdarzenia społeczne, uzupełnia braki wykształcenia. Duża uwaga przykładana jest do zaznajomienia strzelczyń z ustrojem i zagadnieniami życia polityczno - gospodarczo-społecznego Polski współczesnej.

Czasami ze świetlic przechodzą strzelczynie do wzorowych kuchni i tam zaznajamiają się z tajemnicami racjonalnego gospodarstwa domowego, czasem świetlica, odświetlone przystrojona, gromadzi gości, przybyłych na okolicznościową akademię, a jeszcze kiedyindziej rozbrzmiewa dźwiękami skoczego oberka. Trzeba także pamiętać o zachowaniu polskich tańców, starych obyczajów i podtrzymywanie coraz bardziej zanikający na wsi kult dla ubiorów ludowych.

Zywotna praca strzelczyń na każdym niemal kroku spotyka się z dowodami uznania. To też gdy w dniu 6 sierpnia, dniu święta organizacyjnego Związku Strzeleckiego, na rozlicznych defiladach przeżyły się wyrównane szeregi strzelczyń, ze wszech stron napewno padały ku nim, jak zawsze, uśmiechy i oklaski. Doskonała to podnieta do dalszej pracy.

Halina Piórecka-Markiewiczowa.



Dla dzieciarni na gwiazdkę.



Pod mostem Kierbedzia.

Żegluga po wezbranej Wiśle

Wszystko tym razem jest zupełnie inne.

Telefony co kilka godzin z zapytaniami, czy statek pójdzie i pewien niespokojny dreszcz, zawieszony w powietrzu pod wpływem komunikatów pism i radja. I sama przystań.

Bo szło się do niej zawsze po pomoście w dół. Wisła płynęła leniwie, bezszelestnie, upstrzona łysinami piaszczystych łąch. A tu nagle! Długie, kręte kładki, przerzucone przez zatopione bulwary. Ochrona policji i służby żeglarskiej (tej rzecznej, proszę!) i pomost, po którym się idzie stromo w górę.

— Państwo dojadą tym małym statkiem do kolejowego mostu. Luksusowy czeka po drugiej stronie. Nie może przejść pod mostem. Poziom wody za wysoki — melduje uprzejmie kontroler.

Smętnie, ale co robić?

Wisła warczy dokoła statku. Budą, spieniona, pełna „obcych ciał”.

Pędzi straszliwie zła, jakby chciała czem prędzej wyrzucić w morze wszystkie łązy, strach, nędzę, które wchłonęła w swej dalekiej drodze.

Mały stateczek ze złożonym masztem i kominem przesuwa się pod mostem o pół metra od przęsła. Wodomierz wskazuje 5 m. 10 cm. ponad poziom.

Pod Cytadela czeka „luksusowy” statek przycumowany do ogromnych drzew. Tłok, pośpiech, pertraktacje o przeniesienie rzeczy. Porywają się wszyscy pasażerowie.

— Statek tylko dla pasażerów z biletami luksusowymi — ryczy kontroler.

— Ooo! Z tem luksusowem! Mańka, głupia, pocios wołała, żeby się ruchać — woła paniusia i ciska z furją toboły pod ławkę.

Światło elektryczne, czysta kabina, posłane łózko.

Po wodzie snują się badawcze smugi reflektorów, stateczki dowożą pasażerów na „luksusowy”. Wisła pędzi i huczy.

Wreszcie odjazd. Na Bielanach czysto bije godziny zegar kościelny, dęby odwieczne kryją słynnego Bochenka. Żerań ma zalane wyspy, łąchy, pola i łąki. Myśl pozdrawia tam swoich i ulubione psy. Obserwacje przerywają względy współlokatorstwa, które nakazują zejście do kabiny.

— Nie radzę się pani myć, obudzą nas do dnia na przesiadanie — mówi towarzyszką kabiny — i gasi światło.

W okno wpadają ostre błyskawice, uderzają w wodę pioruny. Deszcz.

— Oh, znów ta woda!

Nad ranem już daleko ukazuje się szeroko rozlana Wisła. Zalane wysokie brzegi i kępy. Płyną z prądem snopy rude, ciężkie i obolałe. Kołują z przenikliwym krzykiem rybitwy. Niepokoi myśl, czy w Wyszogrodzie przepłyniemy pod mostem. Przecina właśnie horyzont swoją kilkokilometrową długością. Stoją na nim robotnicy i mozolnie obracają potężną korbę. Przesło podnosi się do góry. Przepływamy.

Na wzgórkach krzyż, owinięty zeschłą girlandą, tonie w deszczu. Uginają się pod nim brzydkie, pospolite zarośla, pokrywające całe stro-

me zbocze. Ocieka łamany dach starej bóżnicy. Do zbocza tuli się „herbaciarnia”. Miga w pamięci letni wieczór, kiedy się biegło do niej w górę po schodach. Ta sama stara grusza i przy niej stół i ławki. Tylko dziś szyld „herbaciarni” a na nim szynka z butelką wódki i piwa chwieje się nad samą wodą.

Deszcz się uspokaja i wkrótce słońce pali.

Do zabiegów toaletowych służy woda „wiślana”, to znaczy ruda, mętna, wstrętna. Pomimo upału ogranicza się je zatem do minimum. I wtedy właśnie spada grom o przesiadaniu. W Płocku pod mostem statek nie może już przejść.

I znów tempo zamykanych walizek, przenoszenie, przystosowywanie się do warunków zwykłego stateczku.

— Pieniądze biorą za luksus! Nie sprzedają. Płacimy tragarzy — wołamy.

— Siła wyższa. Nie nasza wina — odpowiadają.

— Mieli nam już dać wodę do zębów i herbatę — wzdychamy.

Maszyna statku dudni rytmicznie na raz, dwa, trzy, jak anormalne tętno serca. Stara płocka kolegata patrzy zgóry na olbrzymie rozlewisko i zbliżającą się powoli kłeskę. Maleńkie nędzarne lepianki tulą się do urwistego zbocza Dobrzynia. Przeglądają się w wodzie srebrne lany maków, błękitna cykorja i złote dziewanny. Gdzieś na górce białością ścian i czerwienią dachu uderza mały pałacyk.

Wisła płynie dość spokojnie, ogromna ruda, jak rozpuszczona gлина.

o nieprzyjemnym zapachu. Płyną po niej tłuste, białawe smugi i wielkie kłapcie piany, jak olbrzymie bery czy placki „z kruszonką”.

Dziwi pod Włocławkiem sportowe życie na Wiśle i spokojne gapio-stwo mieszkańców. Tu jest dopiero przybór. Klęski niema jeszcze.

Nad wodą tuż sterczą ruiny zamku w Bobrownikach i rośnie owies. Nie mogło przecież koryto płynąć tak blisko zamku, a żaden chłop nie posiałby owsa nad samą wodą! Koiują nad nią niespokojne grzebółki bo woda podchodzi już do ich gniazd, drażnionych w gliniastym brzegu.

We Włocławku nowe zamieszanie z przesiadaniem na „luksusowy”. Przydzielanie kabin i nowe kapitańskie władze. Pod mostem jeszcze przejeżdżamy. Po drodze dopadają statku łodzie z owocami z Bobrownik, dla Gdyni właśnie. Na wybrzeżu strojna w organdyń dama z Ciechocinka trzyma nerwowo na głowie powiewny kapelus. Tak żurnalowo ustrojona przywędrowała kilka ilometrów oglądać... powódź!

Zmęczone ostatnimi dniami nerwy odpoczywają na słońcu, w ożywczym wietrze. Okolica jest prześliczna i szeroka, gładka powierzchnia Wisły robi kojące wrażenie. Można tu jeszcze bezpiecznie stać na brzegu, nawet w falbaniastej organdyń.

Toruń tonie w zieleni przystani sportowych, parków i kąpielisk. Pod mostami przejeżdżamy, bo przybór wynosi tylko 4 m. 5 cm. ponad poziom.

Niebo zasnuwa się zwałami burzowych, ołowianych chmur. Gazety przynoszą wieści o tem, co w górze wyczynia ta sama, tu jeszcze spokojna Wisła.

ŻEGLUGA po wezbranej Wiśle 3 i rzuca tu i owdzie purpurowe płyty na powierzchnię wody. Brzegi, starannie ujęte w oprawę z zielonej



Fragment zalanej wsi.

wikliny, powoli szarzeją. Wszystko staje się srebrne ale... oksydowane nocą.

Połyскуюją w ciemności ostrym światłem latarnie w Fordonie, rozświetlając mroki karnego więzienia. Grudziadź mija się we śnie.

O świcie mgła gęsta, lepka, nieprzenikniona trzyma statek na uwięzi. Słońce walczy z nią zapamiętane i przez krótką chwilę oświeca Gniew. Stary w stylu nadwiślańskim kościół, mury klasztoru, wspinały czworobok krzyżackiego zamczyska czerwienią barwą cegieł.

„Ośrodek pracy”, przydzielony do regulacji koryta Wisły, wita zdrowym okrzykiem i powiewem rąk.

Woddali majaczeje Tczew. Lekkie łuki mostu oznaczają kres naszej podróży rzeczonym statkiem. Ze spokojnej, tylko wezbranej rzeki, bez śladu piany, przesiadamy się na okręciak morski. Płyniemy przez te-rytorjum gdańskie. Wiatr dmie po-

rywiście i zapowiada burzę na morzu.

Monotonne brzegi Wisły przerywa, budzący sensację, wjazd do pięknej słuzy. Starannie utrzymany kanał jednej z delt Wisły okazują wesołe domki i przystanie, oparte o tło lasu. Droga wodna, wytknięta palami, prowadzi do morza przez tę gdańską Szwajcarję.

Ożywczy, mocny wiatr dmie prosto od morza. Wpływamy w nie obok latarni morskiej. Wyjątkowo silne fale rzucają okręcikiem na wszystkie boki. „Szczury lądowe” leżą pokotem, blade, chore, zielone, oczekujące ładu z utęsknieniem. Mijamy zdale Soboty i Orłowo, zasnuwane mgłą. Wpływamy do Gdyni po czterdziestu godzinach na wodzie.

Z miasta trwogi i klęski dobijamy do miasta spokoju, wzniesionego wspaniałym wysiłkiem państwa i narodu.

Maria Dobrowolska.

Polacy w kolonji „Kenji”

...I taka drobna okoliczność dała mi nareszcie odnaleźć rodaków, aż w środkowej Afryce. Zabolął mnie ząb, a w tropikalnych krajach nie wolno lekceważyć sobie bólu zębów. Na Czarnym lądzie białym ludziom, niedbającym o zęby, z biegiem lat wypadają one z rozluźnionych szczęk i już ratunku niema, chyba kazać wstawić sobie sznur białych, pięknych ale... sztucznych.

Z obawy przed tą ewentualnością, spytałam o dobrego dentystę w stolicy i pojechałam do niego autem w rannych godzinach. Mieszka on na głównej avenue stolicy Kenji we

wspaniałym gmachu „Standart Bank”. Imponująco i nowoczesnie urządzone pokój przyjęć. Wszędzie dużo angielskich czasopism, fotele klubowe, wygodne. Na moje spotkanie wyszła angielska miss, w stroju siostry sanitarnej, drobna, kształtna i pyta się uprzejmie o moje nazwisko. Miała tak różowe policzki, że mimo mego bólu zauważyłam, iż kosmetyka w Anglii bardzo wysoko stoi, kiedy swoje rodaczki potrafi przekształcić w żywe róże...

Prosi, bym chwilę poczekała, zaraz pan doktor mnie przyjmie „Please, have a look”, zaprasza mnie

z miłym uśmiechem, pokazując całe stopy ilustracyj. I rzuciłam okiem, bardzo nieuważnie, bo co mi teraz czytać, jeszcze głowić się nad angielskimi żurnalami, kiedy mi ząb niesłychanie dokucza. Aż tu patrzę i oczom nie wierzę. „Tygodnik Ilustrowany” i „Naokoło Świata”, co-prawda numery dawne, z przed miesiąca i dłużej, ale polskie. Skąd tu w angielskiej kolonji, gdzie niema przecież moich rodaków, nawet słowian jak na lekarstwo, te polskie pisma?

Odrązu ze wzruszenia przeszedł mi ból i gdy poprosił mnie dentysta do



swego gabinetu, zagadnęłam go o te polskie pisma.

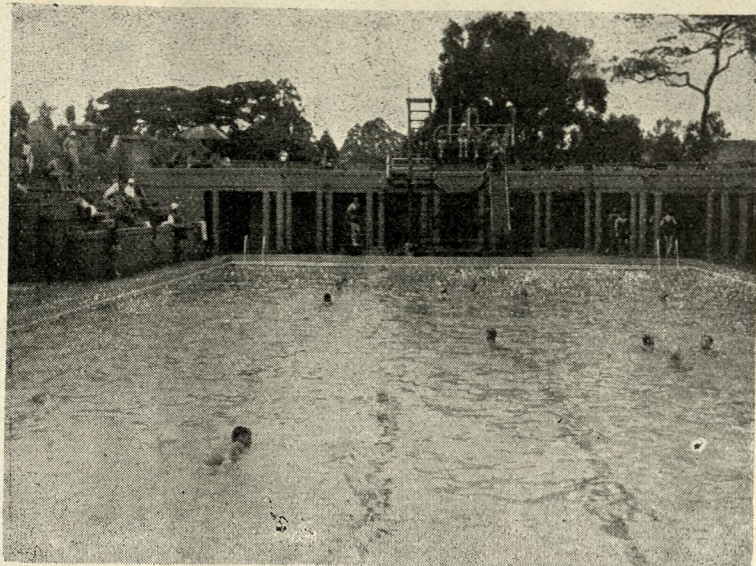
— To z mego kraju. — odpowiada — przesyła mi rodzina z Warszawy gazety, bo tęsknię za moją mową.

Jak bardzo ucieszyliśmy się sobą, chyba powiedzieć tu nie trzeba. Prosił, bym zaszła do jego znajomych, także Polaków, z czego skwapliwie tego samego dnia skorzystałam. Mieszkali nawet niedaleko od mego bungalowu, tuż obok wspaniałej pływalni „Salisbury“, gdzie codziennie spotykają się Europejczycy na tarasach pod parasolami przy dźwiękach orkiestry murzyńskiej.

Pani domu, elegancka, miła, starsza dama, już przez doktora uprzedzona, przyjęła mnie ze łzami w oczach.

— Cóż za radość, nasza rodaczka i tu w głębi lądu afrykańskiego.

W rozmowie zapytałam się (ci państwo mieszkali już 15 lat w Nairobi), czy niema tu więcej Polaków, czy niema związku choćby słowiańskiego? Niestety prócz misyjnego, do którego wszyscy Europejczycy - katolicy należą w kolonii, z braku większej ilości Polaków niema żadnego stowarzyszenia. Nawet niema słowiańskich konsulatów, wszystkie sprawy Słowian posyła się do francuskich kolonii północnej Afryki. W pobliżu Kongo belgijskiem na plantacjach i przy ogromnych hodo-



...Tuż obok wspaniałej pływalni „Salisbury“...

wlach słońi są Polacy; także garstka, ale komunikują się i mają łączność z krajem przez sekcję afrykańską Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Po drodze nasi podróżnicy zajeżdżają do wybrzeża zachodniego, do brzegu kości słoniowej.

Gawędziłyśmy tego pierwszego dnia naszego przypadkowego spotkania dopózn.

Wsluchiwałyśmy się w dźwięk pięknej naszej ojczystej mowy, przyszedł później i doktor, posłano jednego z czarnych boy'ów po jeszcze jedną polską „memzę“, mieszkającą z mężem Anglikiem od lat w oddalonem dosyć przedmieściu „the Hill“ i wierzyć nie chciała ta ostatnia, że znów jakaś Polka ukazała się na gruncie kolonii, i radości i wzruszeń nie było końca.

Jeszcze przez pół roku dalszego mego pobytu w Kenji przebywałam

często w towarzystwie garstki moich rodaków, pożyczaliśmy sobie polskie książki i pisma, haftowałyśmy czasem polskie kaszubskie hafty i ozdobiłyśmy nimi nasze pokoje, ku wielkiemu zdumieniu Angielek, które wcale tego rodzaju haftu nie znały. I wyjeżdżaliśmy na polowania także razem i dziwnie brzmiał polski język wśród stepów i skał i spalonych od słońca płaszczyn ziemi afrykańskiej.

Gdy przyszedł na mnie czas powrotu do Polski, ileż to zleceń zabrałam z ust Polaków dla rodaków, krewnych, znajomych w kraju! Do Warszawy, Przemyśla, do Lwowa... W miarę możliwości ustnie załatwiłam prośby wszelkie i zakomunikowałam Polakom w kraju tęskne, gorące słowa pamięci od dalekich rodaków w Afryce.

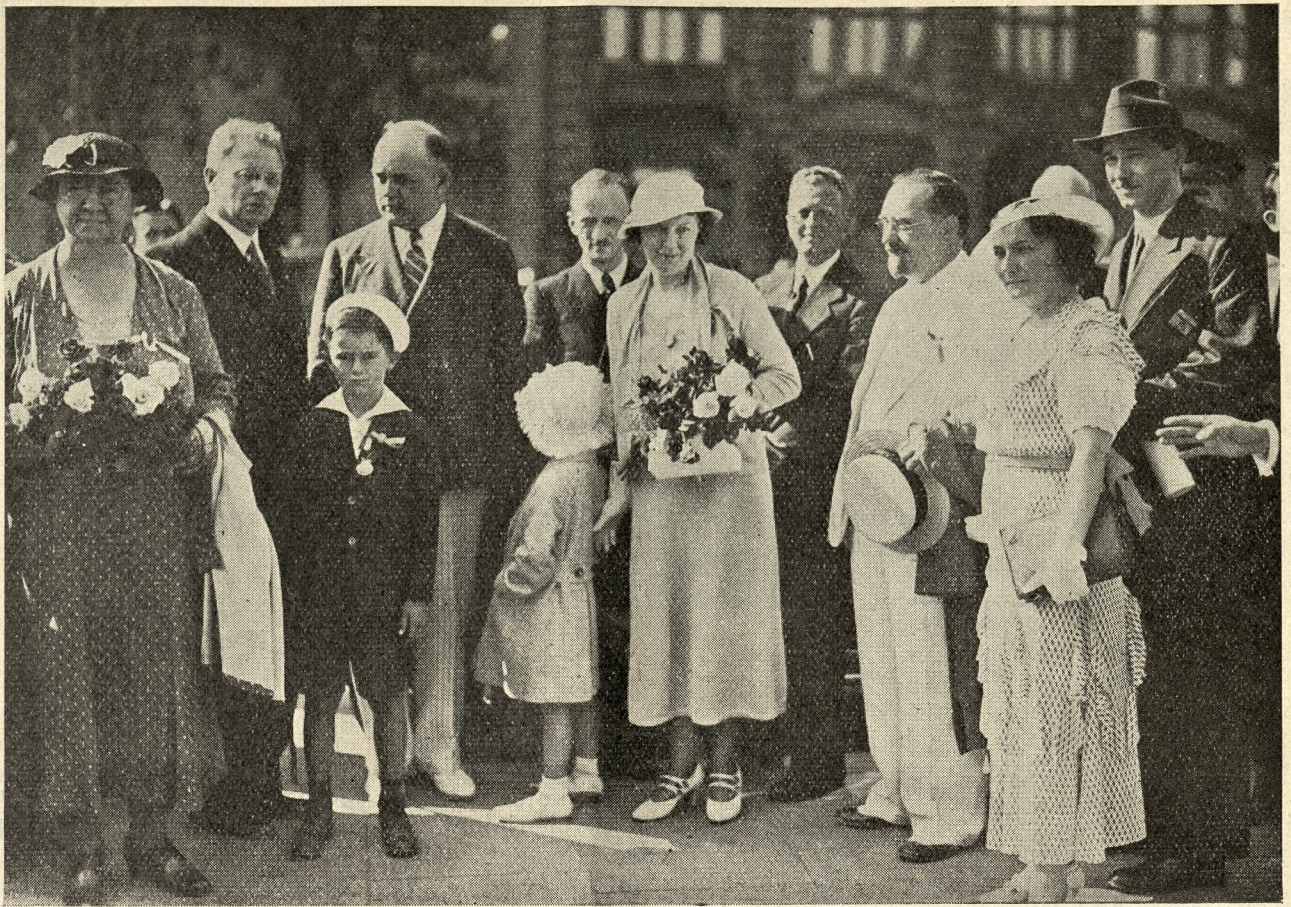
Marja Olga Tchórznicka.



...bo to zarosze środkowa Afryka...



...wyjeżdżaliśmy także czasem na polowanie...



Polacy z Ameryki. Od lewej p. Kryszakowa, redaktorka „Głosu Polek”, cenzor Świellik z żoną i dziećmi, dr. Smykowski.

Przyjaciół emigranta

Polak zagranicą nie jest pozostawiony sam sobie. Czuwa nad nim Polskie Biuro Międzynarodowej Pomocy Emigrantom, instytucja, której jedynym celem i zadaniem jest załatwianie najrozmaitszych spraw emigrantów.

Biuro pozostaje w kontakcie z całym szeregiem instytucyj społecznych w kraju i zagranicą, jak z Syndykatem Emigracyjnym, Wydziałem Opieki Społecznej Magistratu, Zw. Obywatelskim Kobiet, International Migration Service w Genewie, z Międzynarodowym Biurem Pracy przy Lidze Narodów i t. d.

Na czele jego stoi p. Roman, nasz poseł w Sztokholmie. Kierowniczką biura jest p. Rowińska.

— Trudno mi w kilku słowach opowiedzieć pani o całokształcie naszej działalności — powiedziała, gdy zwróciłam się do niej z prośbą o udzielenie szczegółów z życia Polaków zagranicą. — Odnosimy się do każdego wypadku indywidualnie, staramy się przyjść z pomocą naszym rodakom na obczyźnie.

Do Biura przychodzi kobieta z córeczką. Pochodzi z zapadłej wsi. Jej mąż wyemigrował kilka lat temu do Ameryki. Początkowo wiodło mu się nie-dobrze, teraz zarobki jego poprawiły się i wzywa rodzinę do siebie.

— Byłam w konsulacie amerykańskim — opowiada kobieta ze łzami w oczach — ale odmówiono wizy, ponieważ moja Julka urodziła się przed naszym ślubem i doktor powiedział, że jest głupia... Ja mogę jechać, a Julce nie dają...

Okazuje się, że kobieta powiedziała prawdę. Doktor w konsulacie stwierdził niedorozwój umysłowy dziecka.

Biuro przychodzi kobiecie z pomocą. Radzi pojechać do męża, a Julkę umieszcza pod odpowiednią

opieką, gdzie umysł zabiedzonego, wiejskiego dziecka stopniowo rozwija się. Otoczone serdeczną opieką, w normalnych warunkach, Julka w krótkim czasie jest uznana przez lekarza konsulatu za zdrową. Otrzymuje wizę i jedzie na drugą półkulę do rodziców!

— Nasze Biuro nie posiada własnych funduszków i kształcenie dziecka zostało uskutecznione za pieniądze, przysłane z Ameryki — tłumaczy p. Rowińska. — Zapisujemy każdy grosz, zdajemy dokładny rachunek i staramy się, aby wydatki były najmniejsze.

Pewien emigrant, zamieszkały na Alasce, dowiedział się, że jego syn, którego zostawił u krewnych w Lubelskiem, znajduje się w nędzy. Posyła mu więc pieniądze, potrzebne dokumenty, jednak chłopiec nie przyjeżdża. Więc ojciec pisze rozpaczliwy list do Biura.

— Udałam się w Lubelskie, znalazłam chłopca i okazało się, że krewni wyzyskiwali go — opowiada p. Rowińska. — Pieniądze przysyłane przez jego ojca zabierali, listy konfiskowali. Zresztą chłopiec był analfabeta, niezbyt rozwiniętym i nie umiał dać sobie rady.

Od tej chwili sprawa posunęła się w szybkim tempie naprzód. Biuro sprowadziło chłopca do Warszawy, nauczyło go czytać i pisać, pomogło mu otrzymać wizę i emigrant na Alasce w niezadługim czasie odzyskał stracone dziecko.

Walenty Z. wyemigrował do Francji, ale nie posiada potrzebnych dowodów osobistych, to też znajduje się w trudnym położeniu. Ktoś mu poradził, aby zwrócił się do największego przyjaciela Polaka zagranicą, Biura Międzynarodowej Pomocy Emigrantom. Usłuchał. Napisał długi list, w którym wyłuszczył wszystkie swoje bolączki.

— Jak mi państwo nie pomogą, to chyba palnę sobie w leb! — głoszą koślawe litery na tanim papierze.

Biuro pomogło. Wyrobiło mu potrzebne dokumenty, weszło z Walentym Z. w bliski kontakt, ułatwiło mu szereg spraw, wyjaśniło, jak postąpić w rozmaitych sprawach.

— Biuro, to najlepszy przyjaciel emigranta — powiedział Walenty Z.

— Pewnego razu przyszła do nas młoda dziewczyna i opowiedziała smutne dzieje — objaśnia p. Rowińska. — Jej rodzice mieszkali w Ameryce. Matka umarła, gdy była jeszcze dzieckiem. Ją samą adoptował znajomy ojca, przywiózł do Polski i wyrzucił na bruk. Dziewczyna otrzymała miejsce służącej, ale tęskni za ojcem, pragnie wrócić do Ameryki. Tylko nie wie, jak się do tego zabrać...

I znowu Biuro odegrało rolę przyjaciela emigranta.

Często do Biura przychodzi wieśniak, który pragnie emigrować.

— Powiadali sąsiedzi, że w Ameryce lepiej — mówi.

Biuro nie ogranicza się do dania suchej rady. Wnika głębiej w przyczyny, skłaniające wieśniaka do porzucenia swojego kraju, zaznajamia go z zarządzeniami emigracyjnymi. Rozmowa taka ma zawsze charakter poufny. Interessant w krótkim czasie przekonywa się, że znalazł się wśród przyjaciół, którym tylko jego dobro leży na sercu. Pomału pierwotna niechęć znika.

— Jakbym był między braćmi! — woła.

Do Biura przychodzą często ludzie bez żadnego interesu. Ot tak, na pogawędkę. Siostra kobiety, której Biuro ułatwiło wyjazd do męża; ojciec dziecka, które Biuro wysłało do rodziców.

— Chciałem podziękować — szepcze nieśmiało — i zobaczyć ludzi, którzy mają tyle serca...

Emigracja jest bardzo często powodem rozdzielenia rodzin, co ujemnie wpływa na warunki ich życia. Dłuższa separacja i niepomysłne warunki sprawiają, że żywicieli rodzin zrzucają z siebie odpowiedzialność za żony i dzieci, pozostawione w kraju.

— A może on ma jenszą kobietę? — pyta z rozpaczą kobieta.

Biuro nawiązuje kontakt z emigrantem. Przychodzi mu to z trudnością. Kobieta ma tylko jego



..otrzymują wizę i jadą na drugą półkulę...

ostatni adres w Chicago. Kosztem mozolnego szukania, z pomocą społecznej instytucji w Ameryce, drogą miejscowych wywiadów u rządcy domu, w sklepie, klubie, wśród znajomych, znajduje wreszcie emigranta. Teraz przychodzi najtrudniejsza część pracy. Należy skłonić mężczyznę, aby zabrał do siebie rodzinę, przypomnieć mu o jego obowiązkach...

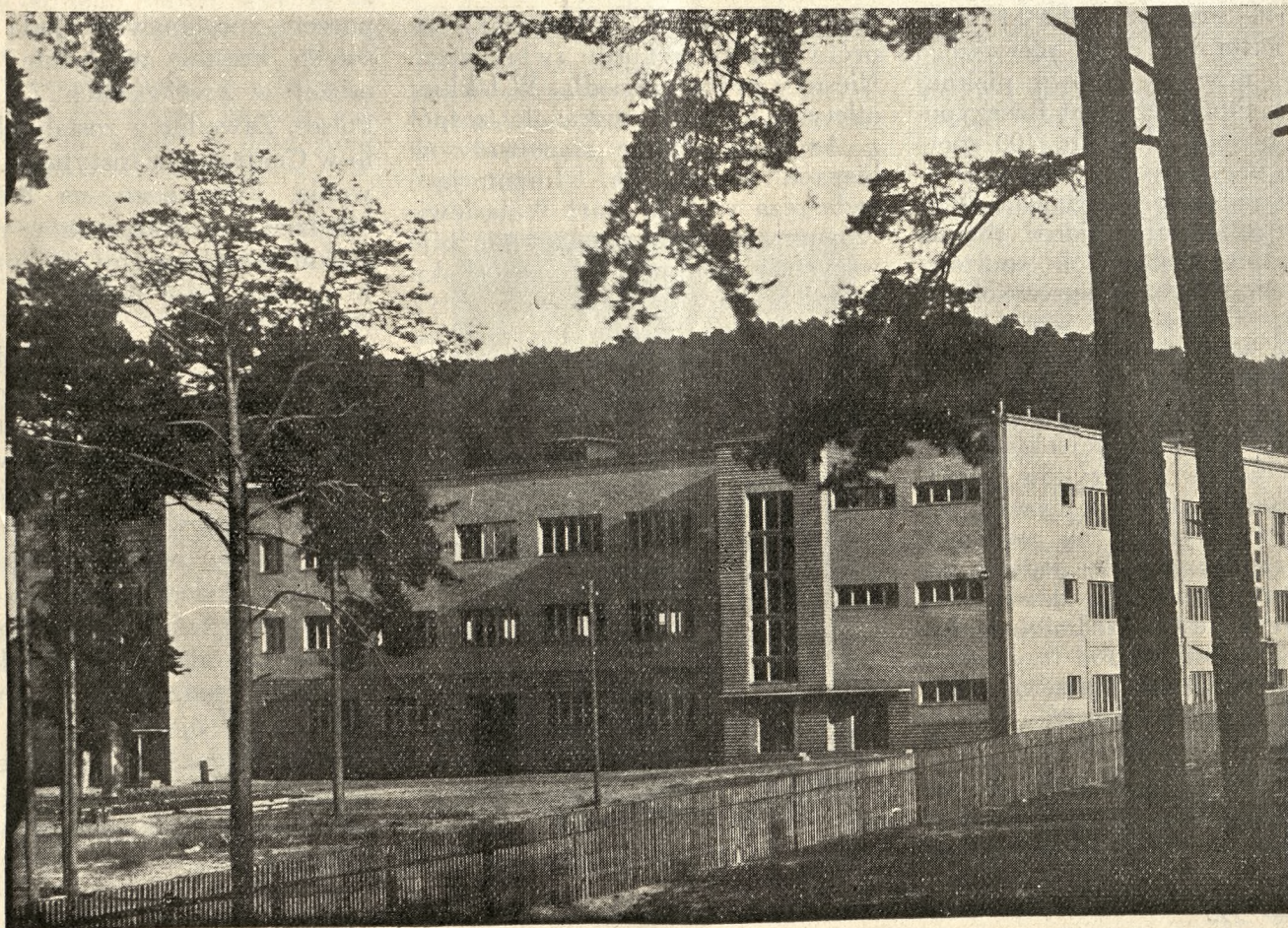
W wielu wypadkach Biuro odnosi zwycięstwo, chociaż początkowo emigrant nie reaguje na listy z Warszawy. Aż wreszcie coś zaczyna mu tajać na dnie duszy. Przypomina sobie żonę, zaczyna tęsknić do dzieci. I z Ameryki przychodzi dolary... na adres Biura, które wyrabia potrzebne papiery.

— Gdyby nie Biuro, nie pojechałabym do męża. Bóg zapłać państwu — pisze kobieta dziękczynny list.

Takich spraw przewijają się przez Biuro tysiące. W r. ub. roztoczyło ono opiekę nad 871 rodzin i otrzymało 3456 listów!

Cyfry te mówią same za siebie. Wszelkie komentarze są zbyteczne.

St. Osińska.



Hotel emigracyjny w Gdyni.

Wychowanie fizyczne i sport



Kwaśnierska zwyciężyła Niemki w rzucie oszczepem.

Igrzyska Polonji Zagranicznej

Otwarcie igrzysk polskiej emigracji nastąpiło dnia pierwszego sierpnia, przy wyjątkowo pięknej pogodzie. Pan Prezydent Rzeczypospolitej przyjął defiladę 400 sportowców, przybyłych z jedenastu ośrodków polskich zagranicą. Defilada wypadła imponująco: piękna postawa biało ubranych sportowców, maszerujących sprężysto w blaskach słońca na wspaniałym stadionie wojska polskiego, wzbudziła entuzjazm na przepelnionych trybunach. Widzowie powstają z miejsc i niemilknięciami oklaskami, wśród wiwatów i okrzyków, zagłuszają zupełnie dźwięki marsza. Orkiestry nie słychać, na twarzach maluje się wzruszenie; jedyny reprezentant Mandżurji, dźwigający transparent, jest przedmiotem żywiołowej owacji. Wśród trzydziestu trzech zawodniczek maszeruje Walasiewiczówna, w otoczeniu swych koleżanek z Ameryki.

Po defiladzie rozpoczęły się zawody lekkoatletyczne, których sensacją miał być start Kusocińskiego

(nadprogramowy), w charakterze próby pobicia rekordu światowego. Niestety próba zawiodła. W lekkiej atletyce górował wyraźnie zespół z Ameryki. Panie startowały w biegach i skokach. Imponująco zwłaszcza wypadł start Walasiewiczówny, która bezapelacyjnie bije wszystkie konkurentki. Do skoku w dal Stella nie startowała, gdyż nie może ona narażać na szwank swej, świeżo wyleczonej, nogi. Na boisku rozegrano eliminacyjny mecz piłkarski między drużynami Francji i Rumunii zakończony, mimo przedłużenia, nierozgraną. Do niedzieli trwać będą interesujące rozgrywki polskiej młodzieży zagranicznej we wszystkich dziedzinach sportu, co pozwoli nam porównać poziom sportowy różnych skupisk polskich, pracujących często w bardzo trudnych warunkach. Wtorek i środę wypełnią emocjonujące mecze pomiędzy reprezentacją wszystkich zespołów emigracyjnych a reprezentacją Polski. Dzień 8 sierpnia będzie dniem zamknięcia igrzysk,

poczem sportowcy rozjadą się do swych krajów względnie wezmą udział w wycieczkach Zjazdu po Polsce. Zawodnicy zostali ulokowani w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego na Bielanach. Młodzież ta, zrzeszona w polskich organizacjach sportowych, propaguje czynnie imię polskie na obczyźnie.

W dzisiejszych czasach, gdy sport ma tak duże znaczenie propagandowe, sportowcy nasi zagranicą reprezentują coś więcej, niż wyrobienie fizyczne i walkę o rekordy, a ośrodki sportowe i kluby są znakomitą obroną przed wynaradawianiem się młodego pokolenia emigracji. Dlatego też Igrzyska Emigracji polskiej zostały otoczone taką troskliwością władz organizacyjnych II Światowego Zjazdu Polonji Zagranicznej. Warszawa, w pełnym zrozumieniu doniosłości Igrzysk, zgotowała uczestnikom wyjątkowo serdeczną owację.

Podniebne wędrówki

Kobiety, jeśli nie chcecie, by życie wasze zawisło na nitce nad przepaścią, by strzępy szat waszych rozniosły po skałach orły, jeśli nie chcecie, aby turyści poniżej idący zakrzyknęli zgodnym chórem, że „Oto słońce weszło w dolinę“, gdy potkniecie się na śliskim upłazku — na miłość Boską nie chodźcie po górach w spódniczy!

Przez całe dziesięć dni w Tatrach spędzone, błogosławię spodnie, które mi w ostatniej chwili jakby z nieba spadły; zapakowałam je tylko przez uprzejmość dla doświadczonej turystki, która mi je wypożyczyła!

W „Locie“ odważono skrętnie nasze plecaki, wyładowane solidnie a mądrze, według wskazówek z przewodnika, oraz nasze turystycznie obute i podkute osoby, poczem czekoladowy gentelman, gęsto błyskając białkami, powiózł nas do portu. Nareszcie pogoda, jak marzenie. Pofrunęliśmy sobie w przestworza, by przez półtorej godziny ukrywać pod maską nonszalancji czysto ludzką obawę, czy się aby to terkoczące, skrzydlate pudełeczko przypadkiem nie urwie. Niby właściwie, to „trzymamy się powietrza“, a w poieciu szczura lądowego słaba to podpora. Dla próby wystawiam rękę. Natychmiast wypełnia ją jakby z siłą włoczona, mięsista poduszka. — A więc jednak powietrze to coś solidnego — uspakałam się odrazu. Śmiało wryza się w to coś zawzięcie, a pilot, wsparty na ręku, drzemie. Nudzi się biedaczysko, podczas gdy my z zaficiem obserwujemy barwną mapę. Pod nami, gdzieś w dole, sunie nolatnie cień naszego Fokkera. Kiedy cień się zwiększa, dzieci kiwają nam rączkami, zaś krowy, komicznie zadartszy ogona, zaczynają brykać, przerażone hukiem.

Naraz ucisk w uszach, prawe okna zalewa błękit, a lewe zieleń; w oprawie szyb zjawia się śliczny zamczek zwieńczony smukłą wieżyczką. To sienkiewiczowski Obłęgorek. Pilot bez ceremonji kładzie nas w wiraż najwpierw w prawo, potem w lewo, żebyśmy sobie dokładnie to tudo obejrżeli. Dobry sobie! Ziemia się kręci, a serce nam wylazi gardłem!

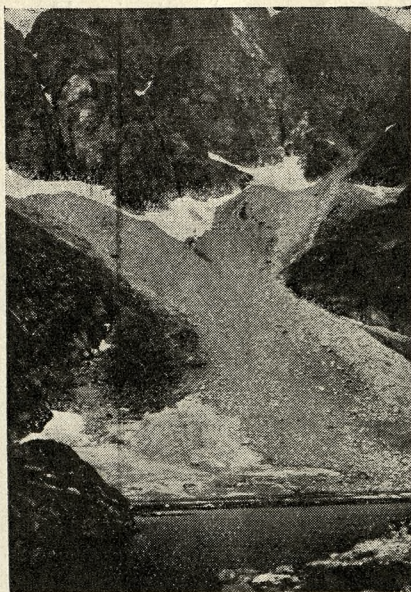
Zresztą pożądana atrakcja, bo właśnie już zaczynało być nudno. Lądujemy w zamglonym Krakowie. Ładna perspektywa! Ale już pod Zakopanem świat się uśmiecha słonecznie a powietrze łyżkami zajadać. Coprawda przed „Dworcem Tatrzańskim“ meteorologiczne horoskopy mętne. Niż nad całą Europą

środkową! Złe jest. Ale to nic, idziemy na Halę.

Po drodze, w Zakopanem dopelniamy zapasów. Chleb Wandera przepyszny, suszone owoce, Ementaler, drosy. I salami. Inne wędliny, o ile nie są przez kochającą rodzinę z Litwy przysłane, i to takie dokładnie obsuszane, po kilku ciepłych dniach, w górach samodzielne wędrówki rozpoczynają. O salami toczą wojnę z towarzyszem. — Dlaczego i poco salami? — wydzierał przy zakupach; a później, galgan jeden, to mi je w górach z ręki wydzierał! Wreszcie plecak jego wydaje mi się dostatecznie wyładowany, a jemu chyba też, bo choć, jako gentelman, nie pozwala damie ni dźwigać, to zato rewanzuje mi się spojrzeniem, pod którym zimno się robi, jak w styczniową noc na Lodowym. Ano walimy na ową Halę.

Co chwila, jak sprężyna z pudełka, wyskakuje fotograf i chwytając w obiektyw nasze kwaśne miny, bo już zaczyna klasycznie „siapać“. Zakopiańskie paniusie w kapeluszach i ażurowych pantofelkach pochowały się do pensjonatów, gdzie lupią w brydża i łypią oczyma do gorączkujących młodzieńców. A my bohaterko „tyramy“ po błotku przez Skupniowy Upłaz i w nagrodę popijamy na Hali sławną śmietanę od Bustryckiej.

W schronisku aż mdli od spirytusowych maszynek. Ten djabełski turystyczny sprzęt, znarowiony od urodzenia, nie chce się nigdy przyzwójcie palić. Wokoło gromada wariatów suszy obmokłe plecaki i osobście warzy strawę. Aż przyjemnie natrzeć, jak jeden z drugim turysta bez szemrania, a wcale zrecznie, gotuje zupę. I pomyśleć tylko, poco



Zmarzły Staro w dolinie Czeskiej.

właściwie my kobiety tak się kucharowaniem zamęczamy?!

Podjadłszy, opuszczamy schronisko bez plecaków. Z morza mgły sterczy czubata wysepka. To Kościelec, cel naszego pierwszego treningu. Za progiem stary góral ęmi fajkę.

— Cóż to, nigdy u was to słońca niema? — zapytujemy.

-- Ledwie państwo przyjechali a już chcą słońca, ja tu siedemdziesiąt lat mieszkam i słońca nie widziałem! — odpowiada nam dowcipnie niefrasobliwy „tubylec“.

Gdyby nie przezierające od czasu do czasu skalne zjawy, przysięgłbyś, że ta, łanami kosówek porośnięta łąka, gdzieś w równinach się rozciąga. Deszcz spływa nam z wiatrówek na spodnie. Obchodzimy rozrzucone po bulach i piętrach Hali Gęsienicowe Stawki i drapiemy się na grań Kościelca. Syci wzrok wiecznie świeże piękno Czarnego Stawu i dzikość szarych masywów. Usiłujemy zejść bezpośrednio nad Staw. Aha, akurat! Trawiaste upłazki kończą się nagle skalistą, podcięta ścianą. Jak to mówią „Kościelec nie puści“. Wracamy tedy potulenie utartą ścieżką. Drogę do Schroniska przecina rumowisko kamieni, ślad owej lawiny, co natężnionego piewęc Tatr ongiś zasypała. Zrudziały wianek zdobi skromny pomnik Karłowicza.

Niby Mały Kościelec — mięta, a jednak przyczepy zaśniedziałych mięśni bolą, a schody w Schronisku zdają się nowem ciężkiem podejściem! Gramolę się na piętrowe łóżko i momentalnie wpadam w otchłań snu. Rankiem pierwszy odruch — do okna. Gdzie tam!

Polskie Tatry mają szczęście. Zawsze mokre. Podobno na czeskiej stronie lepiej. Ale zanim się tam przeprawimy, warto zrobić jakąś solidniejszą wspinaczkę.

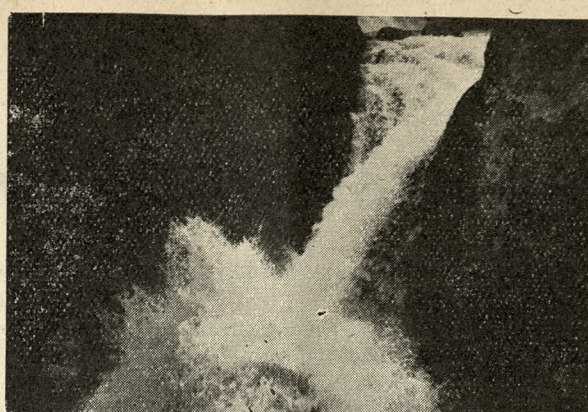
Wybieramy szlak: Granaty do Krzyżnego, przez urwiste Buczynowe Turnie. Podobno to najtrudniejsza część Orlej Perci.

Ścieżka prowadzi po kamiennych stopniach, wśród kosówek i bezwonnnych ostrobarwnych kwiatków. Odpoczywamy często, popijając wbrew przepisom chłodny nektar z chlupczących po kamieniach strużek. Na dwa metry przed nosem mleko.

Trzeba wy dostać się po klamrach na poszarpaną grzędę skalną i dalej piąć się już wprost ku górze. Teraz już się nie czuje zmęczenia, bo powietrze jak kryształ. Spadający kamień załomotał po głazach. Z góry ktoś pędzi na złamanie karku.



Potok w Dolinie Białej Wody.



Wodogrzmoty Mickiewicza.



Biała Woda.

— Czołem, czołem! Państwo na Krzyżne? Ciężka droga, pani nie da rady!

Turysta znika we mgle, a ja niewzruszenie prę w górę. Kładziemy wiatrówki, bo na tych wysokościach wiatr już na dobre hula między turniami. Pierwszy etap. Wzdychamy do słońca i gorącej herbaty. Rażno zabieramy się do gospodarstwa. Woda jest, zapalki są, maszynka jest, spirytus... na miłość Boską spirytus został w schronisku! Zato mamy ze sobą pełną puszkę herbaty, pewnie, żeby było lżej chodzić. Rzucam zjadliwe spojrzenia na winowajcę. Ech już lepiej niech mężczyźni nie gospodarują!

Ano, popijamy lodowatą wodę, siedząc na zimnym glazie, chłostani przenikliwym wichrem.

Pogryzamy sobie chleb z sławetnym salami i czyhamy na widoki. Naraz mgła pierzcha gdzieś głęboko, w dole otwierają się pawie oka stawów i już zaraz wszystko przepada jak sen.

Teraz idziemy za czerwonymi znakami. Zaczyna się prawdziwa wspinaczka. Stromym kominkiem spuszcza się w dół, aby za chwilę po zimnych klamrach i drabince wspiąć się na jakąś grań. Zimno, ponuro, mglisto, wokoło sterczą poszarpane turnie. Z mgieł wdzierają przepastne czeluście. Zdobywamy niemal pionową ścianę. Druciane liny parzą ręce, buty obślizgują się na gładkich płytach, skąpe chwytym wymagają największej ostrożności. Odzywa się jakiś prawniejszy instynkt prymitywnego człowieka, i dyktuje stąpienia. Rozciągam się jak kot, przywołuję na pomoc siłę wioślarki, elastyczność pływaczki,

nawet baletowy szpagat znajduje znakomite zastosowanie. Przeszło dwa tysiące metrów!

Tuż pod przełęczą Nowickiego, na wąskim; mocno eksponowanym zachodniku, nad przepaścią nagle kończy mi się pod ręką łańcuch, dłoń druga trafia w próżnię. Ciało, bezwładną wagą leci wdół. W ostatniej sekundzie chwytam kantem buta maleńką półeczkę! Serce wali jak młotem. Nie oglądać się!

Coś mnie jednak zmusza do odwrócenia głowy. Podemną jakby otchłanna szpara lodowcowa, mroczna, mgłą ziejąca. Z boku piętrzy się skalisty gmach Orlej Baszty. Nie chce się poprostu wierzyć, że tędy może przejść człowiek. Przychodzą mi na myśl bohaterowie obiektywu i gnuśni widzowie górskich filmów. I znów idziemy dalej podniebnym szlakiem. Bacność! Nerwy sprężają się, jak struny; nowa próba zręczności i sił.

Zawisam na samych tylko rekach, posuwając się po grubym łańcuchu, podemną rozwarta kilkusetmetrowa czeluść. Kto cierpi na wertiż — z powrotem... Teraz siodełko w żebrach skalnych Buczynowej Turni, potem znów zejście strumą rynną, podcięta u dołu progim.

Trawersujemy szybko piargi Buczynowej Przełęczy, by za chwilę po kruchych skałach, nadzwyczaj stromym żlebkiem wyostać się na grań i przez trawiaste stoki dobieść do Krzyżnego. Odprężenie. Duma rozsiada się w sercu, głód zaś gniecie w dołku. Wybieramy osłoniętą od wiatru płytę skalną i tam pojadamy radośnie cytrynę z cukrem. Zapasy znikają niemal doszczętnie. Jakże to wszystko nam smakuje.

Teraz czas na poezję. Wiatr krótkimi falami przebiega przełęcz, chmury ustępują i za chwilę, jak czarodziejska zjawia, wyłania się z oparów nieporównany widok. Wpada pierwsza strzała słońca, za nią już tuman blasku i cały ten skalisty świat nabiera naraz barw życia.

Na prawo sterczy świeżo przebyty poszczerbiony łańcuch Granatów, w dole wdziczą się wesole jasne doliny Roztoki i Pięciu Stawów. Oddzielnie słyszy się cisze zaskłona w powietrzu, a oddzielnie szum dzwiczny siklawy, srebrzącej się w Roztoce. Jak okiem sięgnąć, wszędzie przegowane, obłe grzbiety gór, jak wielkie ryby; płowe skrzyty ścieżek, bielejące płaty wiecznych śniegów, łany kosówek i nagie, szare urwiska. Morze wierchów i zapadłe koryta dolin. Zaglądamy do mapy i uczymy się, który Hruby, a który Opalony, gdzie Młynarz i Miedziane, spieramy się, czy tamten błękitnie dalekością przysłonięty, potrójny szczyt to Garłuch czy Wysoka.

Potem siedzimy cicho. Tu na wysokości 2110 metrów przychodzi do głosu dusza. Teraz wiemy, pocofmy się tu siłą naszych mięśni darli, pocof zwałczaliśmy zmęczenie i strach. Jesteśmy szczęśliwi.

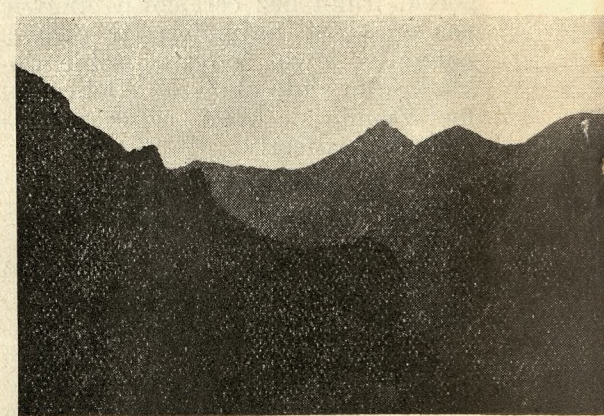
Ale czas ucieka, wiatr napędza znowu chmury i robi się chłodno. Zapinamy nasze długie wiatrówki i szykujemy się do powrotu. Jeszcze jeden rzut oka na przeciwległy widok: dolina Waksmundzka, długi grzbiet Wołoszyna. Pańszczyca zasłana piargiem i zielonym rumowiskiem głazów, a w dali Nowy Targ i białe skrzyty Dunajca, którego ni-



Ganek z doliny Czeskiej.



Siklawa Białej Wody.



Widok z przełęczy Wagi.

szczylińskiej potęgi aniśmy wówczas podejrzewali.

Trzeba śpieszyć, bo czeka nas czterogodzinna wędrówka do Hali. Musimy zdążyć przed zmrokiem. Zsuwamy się szybko piargiem, opierając się na lasce poprostu zjeżdżamy (nieszczęśne buty!) do zamartej, maliniakami usłanej kotliny. Zaczyna się dwugodzinna bez nadziejna skakanina po głazach. Śmiertelną ciszę ożywia zgrzyt naszych gwoździ po kamieniach i rzadkie pogwizdy świstaka.

Z rozkoszą witamy Czerwony Stawek i wspinamy się na zbocze Żółtej Turni. Kolana porządnie bołą od resorowania po kamieniach. Po drugiej stronie już czernieją lasy na Hali. Żda się, że to tuż, tuż. Tymczasem idziemy jeszcze półtorej godziny, krętą, rozmiękłą jak torfowisko ścieżką. Wchłania nas chłodny, zielony las. Mnóstwo świerków, objedzonych przez pasorzyty, świeci nagością gałązek. Przykry to widok. Nakonieec ścieżka, wijąca się w tym pachnącym labiryncie, wyprowadza nas na mostek Suchej Wody. Od deszczu potok wezbrał już znacznie, huczy i bełkocze, a po kamieniach buszują śnieżne piany. W dwa dni potem już rozwalil swoje łożysko.

Zakopane, lipiec. Irena Pawska.

KRONIKA SPORTOWA.

W wielkiej polsko - niemieckiej batalji lekkoatletycznej rozegranej w połowie lipca na stadionie Wojska Polskiego, znakomity zespół gwiazd Rzeszy pokazał niewidziany u nas dotąd poziom. Dość powiedzieć, że padł nowy rekord światowy. Mianowicie w rzucie kulą znakomita Mauer-mayer osiągnęła wynik o 68 cm. lepszy od rekordu światowego. Jest to rzut, którego by się nie powstydzil wysportowany mężczyzna. Team niemiecki wykazał wyjątkowo wyrównany poziom.

Polska reprezentacja była osłabiona brakiem Walasiewiczówny, która ze względu na kontuzję nogi, przebytą niedawno, musiała zrezygnować z udziału w meczu, gdyż nie może ryzykować przed Igrzyskami londyńskimi. Wszakże ten skład, który został wystawiony, zrobił wszystko, co było możliwe. Polki, poza kulą, zdystansowały przeciwniczki niemieckie w rzutach, ustępując natomiast w biegach, płtkach i skokach, gdzie niemki zademonstrowały fenomenalną klasę. Ogólny wynik w punktacji przedstawia się w stosunku 64 : 55.

Cenny puchar wędrowny, ufundowany przez ministra Lipskiego powędrował zatem do Monachjum.

Sierpień przynosi największą kobiecą imprezę sportową, a mianowicie Igrzyska Londyńskie. Polska wysłała znakomity zespół koszykówek oraz team lekkoatletyczny, z Walasiewiczówną i Wajsówną na czele. Wyników oczekuje świat sportowy

GALMANIN
KARPIŃSKIEGO

zapobiega
poceniu się
i odparzaniu
ciała



z napięciem. Pod znakiem zapytania pozostają sukcesy Walasiewiczówny, osłabionej przerwą w treningach, spowodowaną chorobą nogi. Rewanż za porażkę Poznańską szykuje najgroźniejsza rywalka popularnej Stelli, czeska Koubkova, poważną konkurentką do tytułu najlepszej lekkoatletki świata jest również Krauss z Drezna.

Zatem o zaszczytne to miejsce w świecie sportu kobiecego, opróżnione przez fenomenalną Hitomi (Japonja), rozegra się w Londynie zacięta i ciekawa walka. Życzymy naszej gwiazdzie zwycięstwa. Reszta zespołu polskiego pań znajduje się w szczytowej formie po przejściu obozu treningowego na Bielanych pod fachowem kierownictwem świetnego trenera p. Cejzika. Zawodniczki opuszczają stolicę w sobotę, dnia 4 sierpnia i udają się wprost do Londynu.

I. P.



Z polsko niemieckiej batalji lekkoatletycznej. Pośrodku dwie najlepsze miotaczki obu państw: Wajsówna (Polska) mistrzyni świata w rzucie dyskiem i Mauer-mayer (Niemcy), mistrzyni świata w pchnięciu kulą.



Końcowa scena „Arletty i zielonych pudeł”. Kurnakowicz, Gellówna, Jarkowska, Krzymuska, Solska

Z Teatrów

„Arletta i zielone pudła”, w Nowym.

„Arletta” ma wszystkie wady i zalety sztuki, przerobionej z powieści. A zatem: doskonale odmalowane środowisko, zwłaszcza w pierwszym akcie i intrygę, która starczy na fabułę powieści prowincjonalnej, ale nie na akcję sztuki o poważniejszym zakresie. A potem, jak na nasze obecne stosunki, ta apologia starych pań i to w stylu mocno przedwojennym, zakrawa na anachronizm. Może jeszcze gdzieś we Francji, na zapadłej prowincji wegetuje taki rezerwat pięćdziesięcioletnich podlotków, trzymany w dusznej atmosferze domowej ciepłarni przez najstarszą przedstawicielkę rodu, piastującą z przejściem berło władzy rodzicielskiej.

U nas sytuacja „zielonych pudeł” wydaje się muzealnym koszmarem, jakimś straszakiem zabytkowym.

Czy my, w Polsce, już tak daleko poszliśmy naprzód, czy one we Francji, tak bardzo zostały w tyle? Jaka przepaść dzieli „Arlettę” od „Domu kobiet”, gdzie przecież mamy również dramaty kobiet samotnych, dramat na którego dnie wicherzy męczyzna...

Małym arcydziełem malarstwa obyczajowego jest pierwszy akt. Ten pozornie zgrany kwartet czterech starych pań, z którego dziwactwa wieku, kaprysy, różnice temperamentów, a przede wszystkim ich niezaspokojenie, wydobywają co chwila raptowne dysonanse, nieodwołalnie karcone wzrokiem najstarszej siostry—kapelmistrza, oto bajeczne pole popisu dla trzech artystek: Solskiej, Krzymuskiej, Gelli, które z tej ekspozycji zrobiły koncert wirtuozek.

Zjawienie się w tym świeckim klasztorze bez ślubów, ale zato z surową regułą, młodej, zuchowatej i roztrzęsanej kuzynki, wywołuje zrozumiałą burzę w tej szklance ciepłych ziółek, jaką jest zaciszny dom „zielonych pudeł”. I kto wie, czy Arletta nie stałaby się po latach „piątym pudeł”, gdyby nie jej przedsiębiorczość i aprobatą księdza proboszcza, który wyrozumiałem okiem spogląda na pustotę młodości, szczególnie jeśli ta pustota ma „cel dobroczynny”.

Arletta nie tylko sama wychodzi z zamą, za sympatycznego i bogatego urwipolcia, ale pomyślnie rozwiązuje kompleks nieśmiałości najmłodszej z „zielonych pudeł” i jej wielbiiciela, kojarząc przezabawną parę małżeńską z dwojgą prowincjonalnych idealistów, wiernych pierwszej miłości młodzieńczej.

W tej przemilej i świetnie granej sztuce jest jedna fatalna luka psychologiczna. Oto duchowe przerodzenie się najstarszej z „zielonych pudeł”, radykalna zmiana jej stosunku do młodości i miłości niedostatecznie jest umotywowana. Nie rozumiemy zgola, skąd w tym Savenaroli w spódnicy znalazło się tyle dobroci, wyrozumiałości i pogody, jak to się stało, że zardzewiałe żelazo stało się miękkie jak wosk. Wszystkiemu winne te skrótowe teatralne, w których zatracą się psychologiczna perspektywa powieści.

Końcowa tyrada zawierająca melancholijną apologię staropanieństwa w stylu „znacie, to posłuchajcie”, jakkolwiek zawiera same stuprocentowe i bolesne prawdy, z punktu widzenia teatralnego całkowicie zbędna.

Z wykonawców, poza wymienionymi już czterema artystkami, żywy typ prowincjonalnego belfra stworzył Kurnakowicz. Jarkowska grała Arlettę swymi niezawodnymi szablonami. Ksiądz proboszcz i stara służąca znakomicie uzupełniali kolekcję typów.

Szkoda, że z powodu zamknięcia teatru Nowego na sierpień, sztuka zesła z afisza. Powinna stanowczo być wznowiona jesienią.

„Rozkoszna dziewczyna”, komedia muzyczna Benatzky'ego w Teatrze Polskim.

Rozpoczął się sezon sorbetów teatralnych. Po słauiutkiem i kliwem „Szczęściu na poddaszu” w teatrze Małym, poczęstowano nas obecnie w Polskim bardziej esencjonalnym i zdecydowanym w smaku napojem. O ten smak właśnie chodzi. W wystawieniu „Rozkosznej dziewczyny” jest on bez zarzutu. Szczypta soli, szczypta cukru i cała garść dziewcząt, fantastycznie ubranych przez Lorentowicz - Karwowską. Był czas, że ta piękna, rosła, jasnowłosa panna, podobna do barokowego anioła, wyladowywała swoją pomysłowość dekoracyjną na letnich wywczasach w Kazimierzu, wdziewając na się naprzemian to nieprawdopodobnie kolorowe chusty i zapaski, to romantyczne pasterki i muśliny, na których widok przyjaciółki dostawały żółtaczki, a krzywe domki kazimierzowskie jeszcze bardziej przekrzywiały się w niemym podziwie. Ja jednak omal nie krzyknęłam z radości, zobaczwszy te „grzechy dzieciństwa”, nieco dojrzałe artystycznie, harujące po rotacyjnej scenie teatru Polskie-

go na wdzięcznych postaciach młodych aktorek. Nie wszystkie (grzechy, nie aktorki) były jednakowo udane i dostatecznie się tłumaczyły. Komplet automobilowy kapryśnej „czekoladniczki” miał zamaszystą linię, doskonale pasującą do jej bujnego temperamentu i szerokiego gestu. Trzy powiewne biedermajerowskie sukienki panińskie w drugim akcie stanowiły plastyczny odpowiednik melodji walca. Ale dlaczego w trzecim akcie spacerowy kostjum panny, która przychodzi kusić młodziana, stanowi coś pośredniego między karawaniarzem a żalobnym motylem? Pałkójówka, przebrana raz za lalkę w sabotach, drugi raz za muchomorka, jest prześlizczna, ale czy koniecznie ona jedna ma być postacią z bajki?

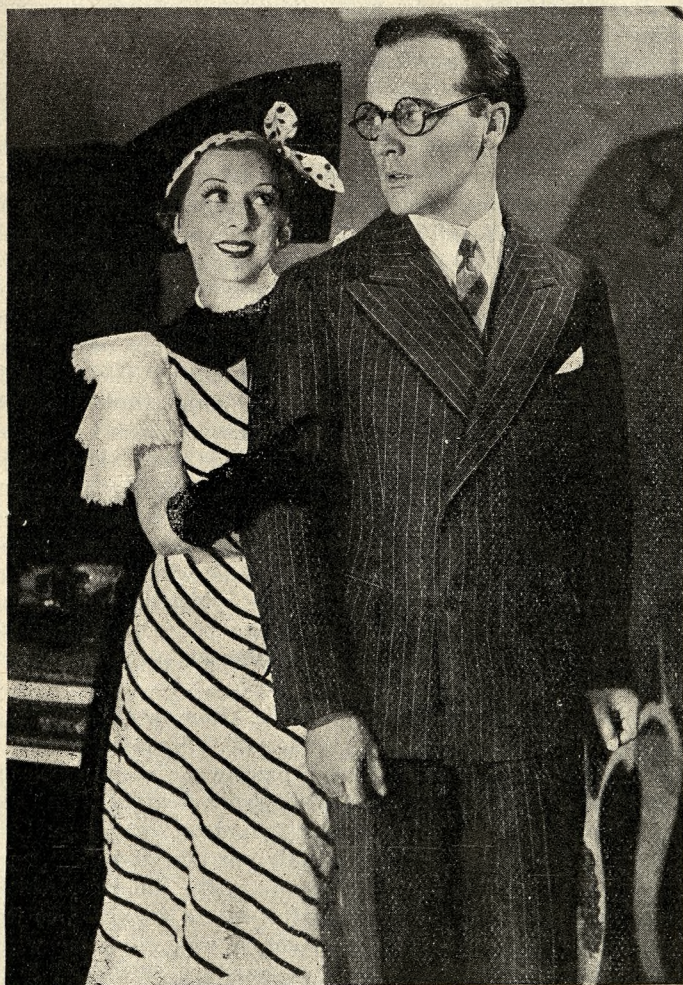
Zaczęłam od końca, to znaczy od kostjumów, może dlatego, że one najbardziej rzucały się w oczy i odcinały od ogólnego tła. Czyż trzeba opowiadać odwieczną historję Ewy kusicielki i ospałego Adama, przerzuconą na stosunki współczesne? Nie wiem, jak ta bajeczka wygląda w oryginale, ale w opracowaniu Tuwima miała dowcip, lekkość, wdzięk i sentyment. Stylowy wdzięk komedji muzycznej. W wierszowanych wkładkach czuło się rękę mistrza, który nawet w igraszkach nie przestaje być poetą. Muzyka Benatzky'ego miła i melodyjna, znalazła świetnego interpretatora w Tadeuszu Müllerze, kapelmistrzu z teatryku „8,30”, któremu na wielkiej scenie błyskawicznie wyrosły skrzydła.

Wiadomo, a raczej nigdy nie wiadomo, jak to będzie z aktorami, którym każą śpiewać. Może być trąba, może być duda, a nawet poprostu cymbały. Tym razem obeszło się bez skandalu, a nawet bez pospolitych w takiej konstelacji kogutów.

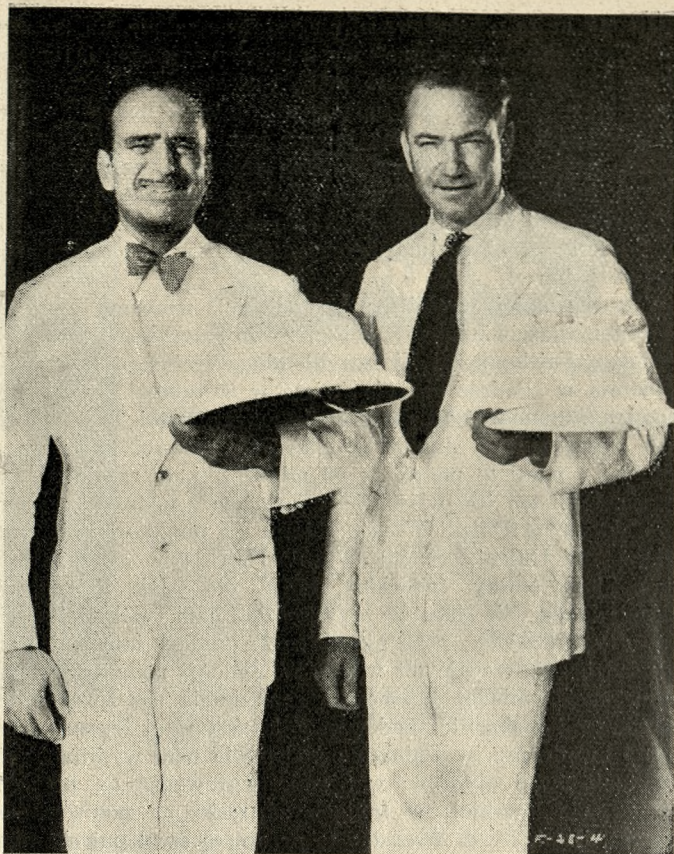
Okazało się, że Romanówna bardzo muzykalnie i z taktem posługuje się swoim maleńkim, niewyrobnym, ale dźwięcznym głosikiem. Jej „Rozkoszna dziewczyna” była naprawdę rozkoszna i miała wszystkie cechy udanego debjutu.

Królował Dymśa: wyrazem, gestem, humorem i głosem. Zgasił jak świeczkę Igo Syma, który tym razem rozruszał się tpochę i w scenach irytacji zdobył się na swobodę i naturalność. Reszta artystów sprawnie i z temperamentem toczyła barwne koło akcji, puszczone w ruch niezawodną ręką Warneckiego.

Widowisko ma zapewnione i zasłużone powodzenie. S. P. O.



Romanówna i Igo Sym w „Rozkosznej dziewczynie”.



Douglas Fairbanks i reż. Victor Fleming w filmie „W 80 minut naokoło świata”.

Z życia ekranu

Trochę wspomnień na nowoczesnym tle.

Czasem się zdarza, że w lecie, kiedy widz kinowy, o zredukowanej kieszeni, skoro musi siedzieć w mieście, i zredukowanych wymaganiach (zna przecież politykę naszych kiniarzy), nie spodziewa się ujrzeć na ekranie niczego rewelacyjnego. spotyka go nagle miła niespodzianka: film artystyczny. Taką właśnie sensacją tegorocznych „ogórków” jest „Dama od Maksyma”, film francuski, reżyserji Aleksandra Kordy (twórcy „Prywatnego życia Henryka VIII”).

Książka Moranda „1900” wprowadziła modę na epokę schyłku w. XIX i początku XX, co oczywiście znalazło swój wyraz przedewszystkiem na ekranie; niedawno widzieliśmy New York z przed lat 30 — 40 (w „Lady Lou”), teraz widzimy Paryż. Ale w „Lady Lou” styl tego czasu zachowany jest raczej w rzeczach zewnętrznych, gdyż ta sama historia mogłaby się dziać równie dobrze dzisiaj.

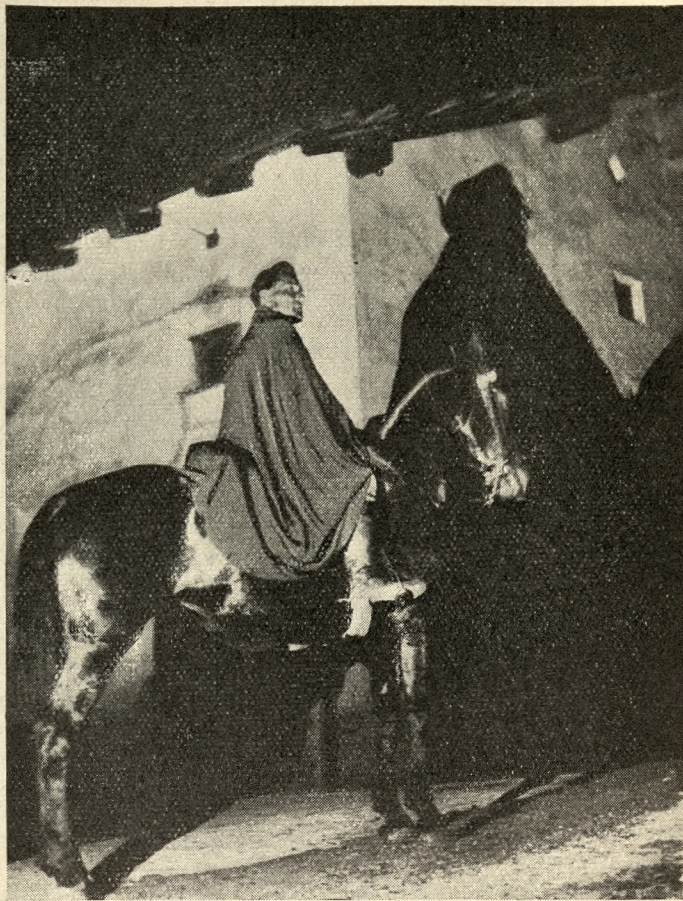
W „Damie od Maksyma” wszystko jest stylowe, począwszy od szeleszczącej halki do roli, jaką takie „damy od Maksyma” odgrywały choćby o ówczesnym teatrze. W filmie tym mamy pełne odbicie życia ówczesnego, zamożnego mieszczaństwa, w podwójnej karykaturze: jedną odbitkę zrobił autor tej, już dziś „klasycznej” farsy, dla swoich współczesnych, drugą — reżyser Korda — dla nas, a kto wie czy nie także i dla naszych wnuków, gdyż mam wrażenie, że film ten będzie dokumentem historycznym. Sposób nawiązania i rozwiązania intrygi, obracającej się wśród zdrad małżeńskich z „półświatkiem” i wynikające stąd nieporozumienie, mają już dziś posmak „historyczny”, a cóż dopiero tło! Plaża, gdzie kostjomy kąpielowe do kostek uważane są za „śmiałość”, toalety, pełne „postiche’ów” i warkoczy, które za chwilę „ozdobiają” głowy dam, kąpiących się we własnej wannie, w... koszulach, samochód „pędzący” 25 km. na godzinę, wzbudzający postrach i sensację, czy, doprawdy, mogło się to dziać tak niedawno? Reżyser nie tylko potrafił z tej teatralnej farsy wydobyć walory filmowe, ale w sposób dowcipny i inteligentny podkreślił całą potworną brzydotę owej epoki, nie mówiąc już o jej śmieszności.

Spójrzmy na te przeładowane, niegustowne suknie, na te „swawolne“ negliże, „wytworne“ wnętrza, z portjerami i figurynkami, na „eleganckich“ birbantów i skromne prowincjonalne paniąki, a będziemy się śmiać podwójnie: z uciechy, że tak być mogło i z radości, że tak już nie jest.

Do sukcesu filmu, poza świetną reżyserją, przyczynia się jeszcze doskonała gra aktorska: w pierwszym rzędzie Florelle, wykonawczyni roli głównej, ale i całego zespołu, którzy tworzą tak groteskowy obraz, umie zachować umiar w stosowaniu jaskrawych barw.

Po tej małej wycieczce europejskiej, wracamy znów do Ameryki, właściwie mówiąc ściślej — do Amerykanów w... Azji: Douglasa Fairbanka i Victora Fleminga (reżyser), którzy nas zabierają w „Podróż naokoło świata w 80 minut“. Jules Verne zużył na tę podróż 80 dni, lotnik amerykański Post obleciał kulę ziemską w 8 dni, a Douglas jak zawsze, kawalarz — odbywa z nami tę podróż w 80 minut t. j. w czasie trwania seansu. Film ten jest właściwie reportażem z podróży znakomitego aktora na Daleki Wschód (biorąc za punkt wyjścia Amerykę — na Daleki Zachód). Wyspy Hawajskie, Japonja, Filipiny, Sjam, Chiny, Indochiny, Indje, oto szlak, którym nas wiedzie Doug, Nie stara się przytem dać nam całokształtu wiedzy o tych krajach: pokazuje to, co go samego interesuje i co, jak sądzi, zainteresuje też widza. W Japonji podpatruje „prywatne życie“ młodej Japoneczki, zaznajamia nas ze sposobem jej edukacji, pokazuje „budowanie“ kunsztownej fryzury trwające 3 kwadranse; w Chinach przedstawia nam wybitnych intelektualistów i aktorów; w Sjamie wprowadza na przyjęcie do pary królewskiej; w Indjach zaprasza na polowanie na tygrysa, i t. d. i t. d. Wszystko to przeplata scenkami charakterystycznymi oraz pokazami słynnych zabytków architektury zwiedzanych krajów, nie zapominając przytem ani na chwilę, o pokazaniu na tem tle siebie i swego stosunku do spotykanych ludzi i zjawisk. Fotografuje się, gra w golfa, gimnastykuje się, skacze, tańczy i przemawia, słowem, jest niezmiernym konferansjerem, utrzymującym „kontakt z publicznością“ i zarażającym ją swym temperamentem i radością życia.

Reż. Fleming, przez zręczny montaż i dowcipnie zastosowane „tricki“ podkreśla jeszcze trochę kabaretowy, a bardzo filmowy charakter tego reportażu, w którym rzeczywistość nie cierpi nadtem, że łączy się ją z fantazją (gra w golfa na mapie, albo po-



Scena z filmu „Buntownik“.

wrót do domu na latającym dywanie), staje się tylko w ten sposób „strawniejsze“ dla tych, którzy obawiają się znudzić na filmie „bez fabuły“. Jest to idealna forma robienia filmów popularno-naukowych.

Z ostatnich programów należy wymienić jeszcze film amerykański p. t. „Uciekinierzy“ (cóż za okropne słowo!) reż. Ryszarda Bolesławskiego. Ulubione postacie ekranu amerykańskiego — gangsterzy, więźniowie i girlsy — występują i tutaj, ale z tych samych części składowych zrobiono, jakgdyby nową potrawę. Akcja rozgrywa się w... transkontynentalnym autobusie, na trasie New York — Kalifornia. Zawiązek konfliktu jest mało prawdopodobny: girlsa, wprost z teatru, bez przygotowania, ucieka do Kalifornji przed prześladowującym ją b. gangsterem, który kupił teatr, gdzie dziewczyna występuje. Ale dalej akcja rozwija się konsekwentnie i kończy dramatycznym akordem: zbieg z więzienia, który na pewnej stacji, wsiał do tego samego autobusu i zdołał zaskarbić sobie sympatję i pomoc owej girlsy, poświęca swe ocalenie, ażeby uratować autobus z dziećmi szkolnymi, zaskoczony przez burzę śnieżną w górach Kolorado. Jak widzimy więc, dobrze nam znane dramatis personae, i ich wzajemne ustosunkowanie, znajdują tu zupełnie nowe tło, co daje możliwość wprowadzenia urozmaicenia do zespołu postaci epizodycznych oraz epizodów komicznych. Reżyser, z jednej strony utrzymuje widza w napięciu przez odpowiednie dawkowanie emocyj, (czy bohater zdoła, czy nie zdoła się wymknąć?) z drugiej, wyzyskuje filmowo kilka akcji, zbiegających się na jednym torze (ucieczka, pogoń, normalna podróż). Wyjątkowo ciekawie przedstawia się strona fotograficzna, pełna ciekawych ujęć fragmentarycznych.

Należy jeszcze wspomnieć o filmie „Buntownik“, europejskiej produkcji wytwórni am. „Universal“. Scenariusz, osnuty na epizodzie walk Tyrolu o wolność, przeciw wojskom napoleońskim, skonstruowany jest dość prymitywnie. Wartość filmu polega tylko na tem, w co go wyposażyli dwaj reżyserzy: Luis Trenker i K. Bernhardt, oraz doskonały operator. Trenkera, znakomitego alpinistę i narciarza, bohatera wielu filmów górskich, znamy zbyt dobrze, ażeby nie domyśleć się, że wszystko, co jest bezpośrednio związane ze światem gór, a więc zawrotne wspinaczki, ucieczki i gonitwy na tle wspaniałych tyrolskich krajobrazów, zostało nagrane pod jego batutą. K. Bernhardt jest prawdopodobnie twórcą scen batalistycznych, o amerykańskim



Jedna z bohaterek „Damy od Maksyma“.



Scena zbiorowa z filmu „Uciekinierzy”.

W praktyce było jeszcze gorzej. Niższe...
 nie...
 ski...
 deko...
 dla wa...
 m...
 ła...
 wa...
 prze...
 to największe ułatwienia, a niewąt-

Przeciw bólom reumatycznym

ASPIRINA



rozmachu, jeśli chodzi o technikę, oraz wszelkich scen zbiorowych, z których najpiękniejsza, pełną porywającej, dynamicznej siły, jest wyniesienie z kościoła figury Chrystusa to obraz o wielkiej sile zarówno plastycznej jak uczuciowej. Scen o walorach malarskich i ruchomych jest tam dużo i one to stanowią pełną rekompensatę za bezbarwną grę pary aktorskiej, znanej i lubianej za czasów niemego filmu: Wilmy Banky i Michała Varkonyi.

Stef. II.

Podróż bez pieniędzy

Niewiadomo, pod jakim stopniem geograficznym bije serce świata. Niezbitym jest tylko pewnikiem, że swym sugestywnym fluidem dociera do mózgu i uczuć człowieka, aby tchnąć w niego tęsknotę oszalałych mórz, stukolorowych brzegów i dalekich, niekończących się dróg.

Już dziesiątki setek lat temu ojciec podróży Pitoasz, uległ tej chorobie. Wyruszył na morza północy, gdzie oczom jego ukazała się Ultima-Thule, wyspa niesamowita, na której ponoć miał się kończyć świat. Po Pitoaszu było jeszcze tylu innych: Kolumb, Vasco de Gama, Korteż, Scott, Peary, Byrd, wszyscy ogarnięci gorączką poszukiwania.

Nieuleczalna choroba włóczęgi mieszkała w dziurawym płaszczu średniowiecznego wagabundy i żonglera z duszą „tromtadratta”, ona, to, nikt inny, rozpięła żagle okrętu Argo w wyprawie po Złote Runo.

Zresztą znamy to wszyscy. Ten niespokojny urok słowa — podróże.

Od lat najmłodszych przykuwa nam oko globus i atlas, marka ze stemplem Rio de Janeiro, Paragwaj, Marokko...

Daleka podróż... westchnienie... błyskawiczny bilans śmiesznie skromnego budżetu.

Ale dość tego! Precz ze smutkami! Precz z rezygnacją parjasa! Wyruszamy w podróż. I to w podróż bez pieniędzy! Ot tak, zadarmo! My wszyscy mający w kieszeni drobne dziesięć groszy, może ostatnie. Proszę nie śmiać się i z politowaniem nie kiwać głową. A zatem:

Pierwsza stacja — Detefon!
 Detefon?...

Państwo są pewnie ciekawi, co to za nowa miejscowość na linii Wawer—Otwock, Milanówek—Pruszków, a może Jabłonna?...

Żadna z nich! Owa nieznana państwu stacja to aparat detektorowy, który spełniać będzie potulnie rolę latającego dywanu. To zaczarowany karuzel, a dla lubiących szumne okresy „Bajka z tysiąca i jednej nocy” w wieku zrealizowanych niemożliwości...

Ale nie traćmy czasu. Przygotujmy się do podróży. Wygodny fotel, niekrępujący domowy strój i słuchawki na uszach, albo otwarty głośnik. Czujemy się jak w sleepingu. Ruszamy.

Co? Gdzie jesteśmy? W Stambule? Oglądamy już jego meczety, strzeliste wieżyczki jakby z koronek utkane?

A może kto z państwa woli mecz tenisowy Polska—Danja, proszę czekać chwilę, zdaje się, że już słychać echo piłek, odbijających się o rakiety Tłoczyńskiego.

Jeżeli państwo wolą, możemy za chwilę udać się na raid samochodowy do Lwowa, może pani lubi silne emocje? A może w panu tkwi żyłka sportowa, to wpadniemy na konkurs motocyklowy?

A potem, jeśli będziemy zmęczeni, możemy odpocząć na jeziorze Augustowskim, gdzie wody mieniają się szmaragdo-granatem, a na brzegach szumi puszcza, czarna i gęsta jak dżungla, gdzie możemy wraz z prelegentem przeżyć wieczór, pełen poezji.

Czas leci, jak na skrzydłach, jedźmy dalej!

Co? Już? Tak prędko Londyn? Nie zawadziwszy o Poznań, ani Zbąszyń?

— Good evening my dear listeners...

Ależ tak, napewno, proszę się tylko otulić szczelnie, aby wśród mgły londyńskiej nie nabawić się kataru. Spędzimy tu godzinę na koncercie. Jeżeli zaś będziemy czuć się nie swoje, wrócimy szybko do kraju, czas leci, jak na skrzydłach. A zatem o 22,30 możemy wpaść na dancing do Adrji, aby przeżyć kilka miłych wspomnień przy dźwiękach tang i bostonów.

Na dziś już chyba dosyć. Jesteśmy znużeni... Zato w niedługim czasie, choćby jutro, będą państwo mogli przepłynąć Ocean, aby się rozejrzeć w Ameryce...

Proszę tylko pamiętać: pierwsza stacja Detefon!

Bilet kosztuje drobne 10 groszy.

**JEDWABISTĄ, MATOWĄ
 CERĘ**



zachowa Pani, stosując płyn SIMI, który nadaje cerze świeżość i urok młodości, usuwa wągrzy, przyszczy i zmarszczki oraz odtłuszcza skórę.



Kobieta w świecie i w domu



KRÓLEWSKA ŁOŻA NA WYŚCI- GACH W ASCOT.

Widzimy tu od lewej do prawej, króla angielskiego, dalej króla i królowę Siamu, królowę angielską, księcia Walji, księżniczkę Helenę-Wiktorję, księcia Artura von Connaught, holenderską księżniczkę Julianę, o której powiadają, że zaręczona jest ze szwedzkim księciem Beatoł, stojącym obok niej.

21 KOBIET RADNYCH OBRANO W LONDYNIE.

Podczas ostatnich wyborów do Rady miejskiej w Londynie na ogólną liczbę 145 członków obrano 21 kobiet.



ZBÓJNICI NA ULICACH WIEDNIA.

Z okazji międzynarodowego konkursu tańca w Wiedniu, na ulicach śródmieścia można było widzieć tańce ludowe rozmaitych narodów, między innemi i naszych górali zakopiańskich.

JAK SIĘ WYGRYWA NA LOTERJI?

Pewna pani, pragnąc grać na loterji, udała się do kolektury z prośbą, aby znaleziono jej los, którego numer kończyłby się liczbą 64. Kolektor, przyzwyczajony do różnych przesądów klienteli, los taki po długich poszukiwaniach znalazł i wręczył go swej klientce. Podczas ciągnięcia na los ten padła jedna z większych wygranych. Kolektor, zawiadamiając o tem swą klientkę i składając jej z tej okazji gratulacje, poprosił, aby powiedziała mu, czemu właśnie takiego numeru u niego zażądała.

Uszczęśliwiona pani wytłumaczyła mu chętnie. Miałam sen: śniło mi się 7 palących pochodni, wśród których latało 8 talerzy Pomnożyłam więc 7×8 , wypadło mi 64(!). no i widzi pan! — miałam szczęście!

Na tę kobietą matematykę kolektor nie znalazł odpowiedzi.

KOBIECY REKORD LOTU NA SZYBOWCU.

Niemiecka szybowniczka Hanna Reitsch, znana ze swoich lotów w Ameryce Południowej, wystartowała na szybowcu „Fafuro“ z lotniska pod Darmstadtem i wylądowała ostatecznie w Rentlingen w Wirtembergji. Przebyła 160 kilometrów i ustanowiła nowy rekord kobiecy w szybownictwie.



POŚLANKI W NORWEGJI.

Ostatnie wybory do parlamentu norweskiego wprowadziły 3 kobiety. Są to: dr. Signe Swenson (partja konserw.), Helga Karlsen (partja pracy) wybrane poraz pierwszy w r. 1919, oraz Helga Ramstad również z partji pracy znana działaczka społeczna.

12-LETNIA MISTRZYNI PILOTAŻU.

Córka lorda Londonderry, ministra lotnictwa brytyjskiego, lady Mary Vane-Tempest-Steward, prowadzi aeroplan z taką samą zręcznością i maestrią, jak inna z jej rówieśniczek — sancezki. Lady Mary nie lata oczywiście sama, lecz w towarzystwie instruktora, który, jak mówi, nie ma jednak nie do roboty, gdyż mała pilotka wykonywa wszystkie ewolucje powietrzne z łatwością i pewnością siebie.



SŁONECZNA SZKOŁA.

Na wydmach piaszczystych angielskiego wybrzeża pod Leicester dzieci ze szkoły powszechnej odbywają lekcje na świeżym powietrzu, w pełnym słońcu, którym tak rzadko cieszy się Wielka Brytania nawet podczas lata.

MATKA PREZYDENTA ROOSEVELTA W EUROPIE.

Matka Prezydenta Roosevelta, pani James Roosevelt przybyła parowcem Europa do Southampton. Powitał ją amerykański poseł w Londynie. Pani Roosevelt twierdzi, że przyjechała poto, aby usłyszeć, co mówią w Anglii o jej synu.

DAMY I WIEŚNIACZKI W RUMUŃSKICH STROJACH LUDOWYCH.

Podczas niedawnej bytności francuskiego ministra Barthou w Bukareszcie, rumuńskie damy i wieśniaczki wystąpiły w bogatych strojach ludowych.

CZARNA GWIAZDA.

Słynna Józefina Baker, czarna aktorka rewjowa, znajduje się obecnie w Londynie, gdzie ma zamiar występować na scenie i w radjo.



Przed wyrokiem

Zbliża się koniec wakacyj szkolnych, wyjątkowo smutnych w roku bieżącym. Najpierw deszcze i chłody przeszkodziły przebywać dzieciom na świeżym powietrzu, gromadzić siły i zdrowie na przyszły rok szkolny. A potem cały kraj nawiedziła straszliwa klęska powodzi.

Ledwo życie zaczęło płynąć w ramach normalnego łożyska, ledwo rozszalałe żywioły zaczęły się uspakajać i groza przebytych dni należy do niedawnych wspomnień, rozległ się ostrzegawczy dzwonek:

— Już za parę tygodni rozpocznie się nowy rok szkolny!

— Już za parę tygodni? — martwi się jedna z matek, która spędziła lato w okolicach Szczawnicy. — Przecież właśnie dopiero teraz rozpoczyna się lato! Moje dzieci wyglądają obecnie gorzej, niż na początku wakacyj. Straszne dni, które przeżyliśmy nad Dunajcem, pozostawiły niezatarty ślad w dziecinnych duszyczkach. Moja Marychna jeszcze teraz budzi się w nocy z okrzykiem trwogi, zdaje jej się, że woda wdziera się do pokoju... Janek oplakuje kolegę, który utonął podczas powodzi... I w takim stanie nerwów dzieci mają wrócić do szkoły? Wykluczone! Nie dadzą sobie potem rady z nauką. Nietylko mogą stracić rok, ale poważnie lękam się o ich stan psychiczny...

— Chociaż spędzamy lato nad morzem, a więc wdali od terenów, nawiedzonych powodzią, jednak i my odczuliśmy jej brzemień — oświadcza inna matka. — Niepokój o najbliższych, niepewność ich życia, nie pozwoliła nam w pełni rozkoszować się wakacjami. No i lato! 2 tygodnie pogody, to mało, bardzo mało! Dopiero teraz znowu rozpoczynają się ładne pogody. A już trzeba myśleć o szkole... Moje dzieci są chętne i zdolne do nauki. Zazwyczaj z radością witają rozpoczęcie roku szkolnego, szczególnie Michaś, istny mól książkowy. W tym roku jednakże dzieci przestały zdzierać kartki z kalendarza, sądząc, że tym sposobem przedłużą wakacje...

— Moje córeczki pojechały na kolonje letnie w wileńskie — opowiada matka 3 dziewczynek. — Czują się dobrze, bardzo się poprawiły. Lecz gdy pomyślę, że przed 1-ym trzeba będzie szykować książki, kupować kajety, opłacić wpis, robi mi się zimno! Obliczyliśmy z mężem, że o ile wakacje szkolne nie zostaną przedłużone, nie będziemy w stanie posłać naszych dzieci do szkoły. Nie będziemy mieli na to środków...

Ciało nauczycielskie zapatruje się podobnie na przedłużenie wakacji.

— Większość dzieci jest silnie zde-

nerwowana — twierdzi jedna z nauczycielek, do której zwróciłam się z prośbą o wypowiedzenie swego zdania w tak ważnej sprawie, jak przedłużenie wakacyj szkolnych. — Klęska powodzi wpłynęła ujemnie na stan psychiczny dzieci. Te nawet, które nie przebywały na zagrożonych terenach, są rozdrażnione. Ich bliscy padli ofiarą powodzi lub czytali w gazetach o strasznym niebezpieczeństwie... Chciałabym widzieć z początkiem roku szkolnego wszystkie moje uczennice wypoczęte i zdrowe. Nie spodziewam się tego, o ile wakacje nie będą przedłużone. Przytem w sierpniu dnie są śliczne, często nawiedza nas fala upałów. Szkoda, żeby dzieci przebywały wtedy w dusznych pokojach! Na początku roku przewiduje się szereg wycieczek. Lecz czyż wycieczka może zastąpić pobyt na wsi?

— Mojem zdaniem należy koniecznie przedłużyć wakacje — oświadczyła kategorycznie inna nauczycielka. — Łatwiej przyjdzie nauka dzieciom zdrowym i silnym, niż zdeenerwowanym i chorym. I łatwiej damy sobie radę z programem szkolnym, niż masową psychozą.

Zbierając głosy osób, interesujących się sprawą przedłużenia wakacyj, nie ominęłam i młodzieży. Zazwyczaj młodzież uważa każde wakacje za zbyt krótkie, gdyż „musi” rozegrać jeszcze jeden mecz lub stanąć do ostatnich zawodów. Jednakże dwumiesięczna bezczynność przykrzy się. Odzywa się tęsknota za szkołą, za kolegami...

— Jestem harcerzem — oświadcza z dumą 16-letni chłopiec. — Nasz obóz znajdował się na terenie objętym powodzią. Naturalnie, pracowaliśmy w miarę naszych sił. Naszym obowiązkiem było ratować powodziaków. Ale teraz... tak chciałoby się trochę odpocząć, zabawić przed rozpoczęciem roku szkolnego... Bo smutne były nasze wakacje! Czy pani myśli, że nam je przedłużą?

Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie harcerza, nie zdołam uspokoić zaniepokojonych matek. Więc zwracam się do ludzi, od których zależy tak ważna decyzja.

— Jeszcze nie zapadła — dowiaduję się w Kuratorjum. — I my zastanawiamy się nad przedłużeniem tegorocznych wakacyj. Bierzymy pod uwagę lato, obfitujące w klęski żywiołowe, z drugiej strony niewolno nam zapominać o programie szkolnym... Sprawa nie jest jeszcze załatwiona definitywnie. Nie pani w tej chwili powiedzieć nie możemy.

A więc czekamy. Czekamy z niepokojem i trwogą.

St. Osińska.

Z ubiegłego tygodnia

Zjazd Polaków z zagranicy triumfem idei narodowej. — Dwadzieścia lat od wymarszu pierwszej kadrowej. — Historia jest uległa wytrwałym uczuciom. — Maszerujemy! — Hindenburg symbolem starych Niemiec.

Przyjazd Polaków z zagranicy to nie tylko święto rodzinne i nie tylko manifestacja naszej gościnności. Wielotysięczne rzesze przybyły ze skupisk emigracji polskiej do wolnej ojczyzny, aby wzmoocnić w sobie świadomość swojej polskości i zobaczyć ziemię, do której przynależą uczuciem, wierną pamięcią, dochowana tradycją. Jeden z najważniejszych czynników mocy narodowej: łączność, przewyciężywszy przestrzeń i czas, zademonstrowała się nam w tych dniach zjazdu. I to my właśnie, my gospodarze, pojęliśmy tę siłę, jaką posiada nasz naród: jego nieuległość, jego zdumiewającą wytrwałność. Widzieliśmy takich, którzy w trzecim i czwartym pokoleniu nie popadli w asymilacyjne sidła, mimo, że przebywają w środowiskach o wysokiej kulturze. I to nietylko tak zwana inteligencja, ale chłopci i robotnicy dochowali wierności mowie polskiej i Polsce. Tak zjazd Polaków z zagranicy był triumfem idei narodowej, tej idei, którą żyły pokolenia w niewoli, nie wątpiąc nigdy w zwycięstwo swojej prawdy.

Toteż zjazd Polaków z zagranicy zeszedł się z dwudziestoletnią rocznicą wielkiego wydarzenia historycznego — z wymarszem pierwszej kadrowej z Oleandrów krakowskich. Historia jest uległa wytrwałym uczuciom... Kadry strzeleckie, formowane przez Józefa Piłsudskiego, podyktowały wydarzeniom rytm swojego zapału. I podczas gdy wielki obrachunek ambicji mocarstw ważył się na polach bitew, kadry strzeleckie i drużyniackie rosły w Legjony, tą jedną ambicją podniecane, żeby czynem zdobyć państwo.

Chwile retrospekcji są pedagogiczne. Nie należy bowiem w rozpędzie wydarzeń zapominać o zaczątkowym momencie, aby nie malała cena tego, co posiadamy. Wartość tamtego momentu jest miarą naszej rzeczywistości dzisiejszej. Dążymy, maszerujemy wciąż naprzód, nie bacząc na zmienny klimat, na trudne drogi.

Dziś zresztą tak samo dookolny świat jest w wojnie i tylko nasza wewnętrzna dyscyplina sprawuje straż na granicach, warując tej granicy wolą pokoju. Warto sobie to uprzytomnić, znowu wychodząc z historycznego przypomnienia, śmierć Hindenburga, prezydenta Rzeszy, nawiązuje właśnie do tych najcięższych chwil wojny światowej, kiedy to oręż niemiecki święcił triumfy. „Wielki Hindenburg” był więc dla Niemiec symbolem tego, co, mimo wszystko, w wojnie światowej musiało ulec: militarystyce, hohenzolleryzmowi i prusackości. Hindenburg był zawsze jeszcze tym łącznikiem między teraźniejszością a przeszłością Niemiec. Z jego śmiercią dopiero zaczyna się nowa era w całej pełni. Hitler, jako naczelnik państwa, oto dopiero koronacja tej nowej idei, której wytrwałości nikt ani ocenić, ani przewidzieć jeszcze nie potrafi.

H. N.

Ogrodnictwo i hodowla

Jesienna selekcja drobiu

Latem, przy obfitości pożywienia i łatwości wykarmienia większej ilości drobiu odpadkami gospodarstwa, możemy sobie pozwolić na różne darmozjady, ale gdy przychodzi jesień, trzeba w kurnikach przeprowadzić staranną selekcję i wszystkie sztuki zbędne, czy też osobniki słabsze, nie rokujące użytkowości, muszą być niemilosiernie z kurnika usunięte.

Na jednego koguta dajemy 12--15 kur ras lekkich lub 10--12 kur ras ciężkich. Koguta trzyma się zwykle dwa lata. Kury trzyma się normalnie trzy lata, przyczem przeznaczają się do rozplodu jaja od starszych kur, bo te dają większy procent wylęgniętych kurcząt oraz silniejsze pisklęta. Wybierając koguta, trzeba pamiętać, iż cecha nośności jest dziedziczna, to też musi on pochodzić z rodu dobrych niosek, powinien się odznaczać wydłużoną budową, oko powinno być bystre, żywe, cienki grzebień i dzwonki.

Dobra nioska ma zwykle małą, kształtną główkę, bystre oko, czerwone, delikatne i miękkie w dotknięciu dzwonki i grzebień, długi grzbiet i dobre rusztowanie kości łonowych. Oboje zaś powinni się odznaczać typowymi cechami swojej rasy.

Ścisła kontrola nośności, która powinna być zaprowadzona w każdym gospodarstwie kurzym, przy użyciu gniazd zatraskowych, niesłychanie ułatwia selekcję. Tylko na zasadzie tych ścisłych danych możemy być pewni, że pozostawiamy odpowiednie sztuki. W dzisiejszych warunkach, kura, która znosi mniej niż 150 jaj rocznie, powinna być bezwzględnie z hodowli usunięta.

Dla indyczek zostawiamy jednego indora na każde stadko, złożone z 10 sztuk.

Najlepsze indory rozplodowe są roczne. Nie powinno się używać do wysiadania jajek indyczek młodszych nad dwa lata i starszych ponad cztery lata.

Ten warunek jest często pomijany, co fatalnie się odbija na rentowności hodowli indyków. Zarodek w jajach od sztuki zbyt młodej rozwija się słabo, dużo indyczek zamiera w jajkach, a te, które się wylęgają, są rachityczne i słabowite, przyczyniając hodowcom masę kłopotu. Indyczki starsze niosą się gorzej i dają znaczny procent jaj niezależonych.

Co do perlic, to do niedawna istniało przekonanie, że perlice żyją parami i trzeba trzymać taką samą

liczbę samców, co i samic; tak jednak nie jest, wystarcza zupełnie jeden samiec na 5--6 samic, a niektórzy hodowcy twierdzą nawet, że można jednemu samcowi przydzielić 12--15 samic. U perliczek dość trudnym jest rozpoznawanie płci, jednak przy bacznej obejrzeniu można zauważyć, że samce mają hełmy na głowie większe, wyższe i innego kształtu, niż samice; płatki na szyi mają daleko większe, istnieje też różnica w głosie, który u samicy jest cieńszy i bardziej piskliwy. Prócz tego samice nie posiadają charakterystycznej dla samców narośli na dziobie. Perlice trzymamy najwyżej 2--3 lat.

Chów w pokrewieństwie powoduje degenerację, to też każdy hodowca powinien się starać o odświeżanie krwi, specjalnie jednak na to wrażliwe są gęsi. Gęsi pod żadnym pozorem nie powinien być spokrewniony z gąskami, gdyż z takiego stadła potomstwo będzie słabe, chorowite i niewyrośnięte. Powinno się zostawiać 1 gęsiarza na 4--5 gęsi, które trzymamy przez 4--6 lat, gdyż w okresie między czwartym a szóstym rokiem gęsi znoszą największą ilość jaj i dają najsilniejsze potomstwo.

Kaczki najlepiej nadają się do rozplodu w drugim lub trzecim roku, starszych zwłaszcza, jeśli chodzi o kaczory, nie należy zostawiać. Na jednego kaczora dajemy 6 kaczek z ras lekkich, a tylko cztery z ras ciężkich. Trzeba pamiętać, że sztuki przeznaczone do rozplodu nie powinny mieć żadnych wad budowy, bo potomstwo takich sztuk będzie je również miało. Nie należy przy zestawieniu stadek gęsi zostawiać, lub nabywać sztuk złośliwych, wydzierających innym pióra, gdyż z takimi sztukami będzie później dużo kłopotu.

Gęsi łagodne będą pilnymi nasiadkami, troskliwie opiekującymi się swoim potomstwem. Zbyt wojownicze gęsiory i kaczory w okresie wiosennym tracą zbyt wiele czasu na wzajemne zwalczanie się, co w rezultacie musi ujemnie wpływać na zapładnianie.

Sprowadzanie samców rozplodowych u gęsi, kaczek skutecznie jedynie jesienią, a nigdy wiosną. Nowonabyte ptaki potrzebują bowiem dosyć dużo czasu na wzajemne zapoznanie się. Gdybyśmy je więc sprowadzili wiosną lub nawet zimą, jaja okazałyby się w większości niezapłodnione.

Pozostawianie większej ilości samców jest nie tylko bezcelowe, ale

nawet szkodliwe, gdyż osobniki te staczają ze sobą nieustanne walki, szkodząc przez to nie tylko samym sobie, ale i wprowadzając tak bardzo szkodliwy na podwórku drobiowym niepokój, czego następstwem, znaczny procent niezapłodnionych jaj.

Wybierając samce i samice, które mają pozostać do chowu, poza ich wiekiem, zdrowotnością i charakterem zwracamy przede wszystkim uwagę na odpowiedni exterior.

W hodowlach rasowych budowa i upierzenie musi ściśle odpowiadać standardowi danej rasy.

W hodowlach, gdzie trzymamy drób nierasowy, wybieramy prosto sztuki doskonale wyrosnięte, zdrowe, wesole, o ładnej i silnej budowie, pochodzące z pierwszych, najwcześniejszych lęgów.

Żywopłoty i dochodowe rośliny z których je można sadzić

Bezwzględnie najpraktyczniejszym i najładniejszym sposobem ogradzania ogródków są żywopłoty. Są one praktyczne i trwałe, nie wymagające ciągłych remontów i miłe dla oka, bo jeśli są założone odpowiednio, prezentują się pięknie, nawet i w zimie, gdy są ogołoczone z liści.

Pozatem ich sironą dodatnią jest to, że służą one za schronienie dla gniazd tysiącznej rzeszy drobnych ptaszek, naszych największych sprzymierzeńców w walce z owadami, największymi wrogami roślin hodowanych. Pomijam już to, że ogródek, zapełniony świergocącą i śpiewającą skrzydlatą rzeszą, jest zawsze weselszy i miłszy od takiego, którego ptaki nie ożywiają.

Dalszym również ważnym momentem, przemawiającym za jak najszerszym użyciem ogrodzeń żywopłotowych, jest to, że one, jak żadne inne ogrodzenie, stawiają tamę kurzowi ulicy. Okoliczność ta jest też bardzo ważna zwłaszcza dla osiedli podmiejskich, gdzie z zasady panuje dość duży ruch.

Jeśli chodzi o ogrodzenie „naszego” kawałka od natrętnych oczu przechodniów, to konkurencję żywopłotom może robić tylko jeden jedyny mur, który z powodu bardzo wysokiej ceny jest wyjątkowo tylko używany.

Żywopłoty oddają nam też duże usługi przy dzieleniu posesji na części. Przy każdym domku musi być mniej estetyczna część gospodarza, gdzie będzie stał drąg do

trzepania, paka na śmiecie, gdzie się rąbie drzewo i t. p. Dobrze jest, jeśli owo podwórze możemy oddzielić od właściwego ogródka, który powinien stanowić przedłużenie mieszkania. Jeśli mamy parcelę cokolwiek większą, z której możemy wydzielić plac do zabawy dla dzieci, to plac taki powinien być również obwiedziony ze wszystkich stron żywopłotem. „Zagroda” taka niesłychanie ułatwia dozór małego obywatela czy obywatelki.

Drzew i krzewów, odpowiednich na żywopłoty, mamy setki, tak że przy pewnej znajomości rzeczy możemy sobie dobrać odpowiednie dla wszelkich gleb i celów, bo przecież stosownie do jakiego celu ma żywopłot służyć normujemy jego wysokość.

Od strony ulicy będziemy stosować żywopłoty możliwie najwyższe na jakieś 2—2½ m. wysokości.

Do oddzielania jednej partji ogrodu od drugiego wystarczą żywopłoty wyrastające na 1—1½ m., chyba że nam zależy na zasłonięciu podwórza i t. p., to wtedy oczywiście stosujemy żywopłoty wyższe.

Żywopłoty całkiem niskie mogą nam oddać cenne usługi, jako obwódki drózek, trawników i t. p., wtedy strzyżemy je na wysokości 40—80 cm. Komuby było żal miejsca na żywopłot, niech go sadi z roślin, które przynoszą pewien dochód. Z pośród takich wymienić należy przede wszystkim morwę białą, która wobec rozwijającego się u nas jedwabnictwa ma wielkie widoki. Z innych wymienić należy *Szalkok Rhammus cathaitica*, jest to krzew o silnym wzroście, gałęzie jego używane bywają do wyrobu cennych lasek.

Oprócz tego można korzystnie spieniężyć jego jagody, które się zbiera, gdy są dojrzałe i suszy w suszarni lub piecu po chlebie.

Szybko rośnie i tworzy gąszcz nie do przebycia dzięki swoim kolczastym gałązkom t. zw. *psia róża* (*Rosa canina*). Odmiana ta różni się tem od innych gatunków, że ma korę zieloną, a na niej kolce białawe. Dojrzałe owoce oczyszczone z ziarenek i ususzone, podobnie jak szalkakowe, mają łatwy zbył do użytku lekarskiego.

Kalina śliwolistna Viburnum prunifolium. Jest to duży krzew, wyrastający w drzewko. Użytkuje się korę z 2—3 letnich pędów, wycinając je na 10—15 cm. od ziemi.

Kruszyna amerykańska, Rhamnus purshiana. Jest to wysoki krzew, pochodzący ze środkowych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Do użytku wycina się rozgałęzienia 2—3 letnie i zdejmuje z nich korę do lekarskiego użytku.



Urok kobiecy — to miły uśmiech. Uśmiech — to białe zęby.

DENTOLIN
Karpńskiego nie tylko bieli zęby, ale wzmacnia dźiąsła i zapobiega tworzeniu się kamienia. Dentolin nie zawiera mydła.

Bez czarna (Sambucus nigra). Znane wszystkim drzewko białokwitnące, wydające czarne jagody, które znajdują duże zastosowanie w lecznictwie, a tem samym łatwy zbył.

Boże drzewko albo *bożodrzew (Artumisia Abrotanum)*. Jest to krzew bardzo ozdobny, rośnie szybko i dobrze znosi cięcie.

Kilkakrotnie w ciągu lata trzeba przycinać wierzchołki, a jesienią osmykiwać liście. Zarówno liście jak i wierzchołki wysuszone kupują apteki.

Krajowa leszczyna, która niewiadomo dlaczego tak mało ma u nas zwolenników, że, mimo iż posiadamy doskonale warunki do jej hodowli, do tego, aby było krajowych orzechów poddostatkiem, jest tak mało uprawiana, że rok rocznie za setki tysięcy złotych sprowadzamy zagranicznych orzechów, przy zakładaniu żywopłotów powinna znaleźć szerokie zastosowanie. Jest ona łatwa w hodowli, niezbyt wybredna na glebę i szybko rośnie. Oczywiście że zbiór z tak gęsto rosnących krzaków musi być mniej obfity niż normalnie sadzonych, ale i te owoce, które one odrzucają, nie są do pogardzenia.

Dobrze jest, jeśli co trzy metry w żywopłocie zasadzimy krzak jeżyny, gdy się rozwinie, kolczastymi gałązkami oplecie żywopłot, wtedy nie tylko człowiek ale i żadne stworzenie się przez niego nie przedostanie.

Przystępując do sadzenia żywopłotu, trzeba sobie przede wszystkim obliczyć, wiele sadzonek nam będzie potrzeba. Sadi się przeciętnie co 30—40 cm, zwykle dwoma rzędami na mijanego, linja od linji, w odległości 40—50 cm.

Linje, na których je sadzimy, powinny być doskonale wytyczone przy pomocy sznurka, odległości porządnie odmierzone i wyznaczone kółkami. Robota ta musi być wyko-

nana dokładnie, bo wszelka niesymetryczność będzie niemiłe razić oko.

Ponieważ żywopłot ma w tem samym miejscu rosnać wiele lat, więc ziemia powinna być doskonale doprawiona, aby sadzonki od razu znalazły duży zapas pokarmu. Na jałowej ziemi żywopłot rośnie wolno i nie daje odpowiednich rezultatów.

Ziemię z natury dobrą i w starej kulturze tylko obficie nawozimy i przeprowadzamy regulówkę, ale jeśli zakładamy żywopłot np. na ziemi bardzo piaszczystej, wtedy lepiej jest wybrać rów na jakie 40 cm. głęboki i 50 cm. szeroki, jałowy piasek usunąć, a rów zasypać ziemią kompostową.

Co do pory zakładania żywopłotów to można je zakładać zarówno jesienią jak i wiosną. Trzeba się jednak z tem liczyć, że żywopłot wiosennego sadzenia zwłaszcza na lekkich glebach będzie wymagał podlewania w czasie letnich suszy.

Marja Dąbrowa.

ZAPISY NA KURSY RACJONALNEJ KOSMETYKI I MASAŻU LECZNICZEGO

Dr J. ŚWITALSKIEJ

dające prawo otwarcia gabinetu kosmetycznego w Polsce, rozpoczęte

Informacje i zapisy

Warszawa, Al. Ujazdowskie 37, tel. 8-92-77

CAŁA RODZINA

ma pociechę z dobrze upieczonej babki. Gospodyni bowiem ma przede wszystkim zaufanie do niezawodnego pieczenia proszkiem Dr. A. Oetkera „Backin” i następnie dobrze zdaje sobie sprawę, że oszczędziła nie tylko na czasie, a także na zawodzie jakiby ją spotkał, nawet przy użyciu najlepszych przypraw. Cała rodzina wdzięczna jest i rączy się tak wyborowem i pożywnem ciastem. Spożywanie nawet większej ilości **babki Oetkera** nie szkodzi, ponieważ jest ona łatwostrawna. A zatem **babka** upieczona na proszku **Backin** zawsze będzie pożądanym dodatkiem stołu każdej dobrej gospodyni.

Tak wyglądają prawdziwe fabrykaty Dr. Oetkera!

Prosimy wystrzegać się naśladownictw!

Bez czarny

Nieoceniona roślina na piaski do tworzenia zarośli, żywopłotów i t. p. jest bez czarny pospolity, zwany w niektórych okolicach smrodyną, o łacińskiej nazwie sambucus nigra.

Bez czarny spotykamy dziko rosnący w wielu okolicach naszego kraju. Osobniki starsze wyrastają w dość duże drzewko, ale najczęściej tworzy on wysokie krzewy z białymi, jak drobna kasza kwiatami.

Kwiaty te wydzielają ostry odurzający zapach, który jedni bardzo lubią, a inni nie znoszą, owoce w formie jagód mają piękną czarno-granatową barwę.

Odmian bzu czarnego jest kilka.

1) Odniana z pstremi, białawo nakrapianymi liśćmi, fol. argenteo margniatis.

2) Z misternie powycinanymi liśćmi, fol. laciniatis.

3) Trójbarwna, fol. tricoloribus.

4) Wreszcie różnolistna heterophyllia, służyć może, jako krzew pojedynczy, rosnący dość powoli.

Wszystkie wyżej wymienione rośliny znoszą zarówno ziemię żyzną, jak i piaski, byle były na nich odpowiednio pielęgnowane. Nie zapominajmy, iż choć jest to naprawdę krzak dziki, którego wiele mamy w kraju, ale że na szczyrim piasku rosnąć bez zasilków nie może.

Racjonalnie pielęgnowane to drzewko może przynieść sporo pożytku, bo zarówno kwiaty jak i jagody nadają się do celów leczniczych i dadzą się nietylko w domu cenne usługi, ale dadzą się spieniężyć w aptekach.

Kwiaty tworzą duży płaski bukiet, czyli baldach, złożony z drobnutkich białych kwiatuszków. O-tóż kwiaty te, po ususzenia służą jako środek na poty stosowany przy zaziębieniach. Dojrzałe jagody zebrane, umyte i usmażone z cukrem, tworzą smaczne powidelka.

Są one świetnym lekarstwem

przeciw skrofułom u dzieci, a mają tę wielką zaletę, że są przez nie chętnie jedzone.

Oprócz tego, dla starszych powidelka te mają również i tę zaletę, że czyszczą krew i chronią przeciw wyrzutom. Ponadto można z bzu czarnego robić bardzo smaczne wino domowym sposobem.

Krzew ten można rozmnażać z nasion, ale łatwiej i prędzej z sadzonek, robionych jesienią lub wiosną z pędów jednoletnich. Pędy takie tnie się na dwa węzły, przyczem dolne ucięcia powinno być pod samym oczkiem, a górne wysoko nad nim. Sadzonki wtykać należy skośnie do ziemi głęboko przekopanej, a po roku, lub lepiej dwóch, powysadzać. Odległość zależna jest od celu, gdyż w żywopłocie wystarcza co 1 metr, a przy obsadzaniu dróg 2—2¹/₂ m.

W żywopłocie można pomiędzy dwoma krzakami bzu posadzić krzak jeżyny. Bzu czarne, hodowane na drzewka, trzymamy trzy lata w szkółce i dopiero potem wysadza się na miejsce stałe.

Na zakończenie jeszcze dodaję, że zarówno kwiaty, jak i jagody, kupują chętnie apteki i że na ten produkt jest duże zapotrzebowanie.

Przepis na wino z czarnego bzu. Po wyciśnięciu soku z dojrzałych jagód daje się na każde 4—5 kg. soku 1 kg. cukru zagotowanego z 1 litra wody. Następnie dodaje się bardzo świeżych drożdży w ilości 1 dkg. na każde 10 l. płynu i stawia w ciepłym miejscu do przefermentowania, które trwa od 2—3 tygodni i lepiej jest założyć rurkę fermentacyjną.

Po skończonej fermentacji przenosi się wino do piwnicy, a po dwóch miesiącach ściągą płyn czysty z osadu i zostawia w spokoju na 1/2 roku. Po tym czasie można ściągnąć do butelek.

Remissomska.

Odpowiedzi działu ogrodniczohodowlanego

P. Galuszka.

Co to jest za szkodnik, który draży kanały w gałązkach porzeczek? Jest to gąsienica motyla zw. *Sesia stipuliformis*, pojawia się ona stosunkowo bardzo rzadko. Motyl składa jajeczka w pęczkach kwiatów, z których wylęgłe gąsienice wgrzają się do młodych pędów, posuwają się przez rdzeń wdół do gałązek starszych, grubszych i tam przepoczwarzają się na zimę. Na wiosnę wychodzą z poczwarek motyle, które znów składają jaja w pęczkach. Najlepszym sposobem walki z tym szkodnikiem jest wycinanie i palenie wszystkich zaatakowanych gałązek, które zresztą bardzo łatwo odróżnić od zdrowych.

Pan Tuczewski.

Załączony pęd opuncji opanowany jest przez pasożyta zw. Czerwiec cieplarniowy, czyli welnisty, *Coccus Adonidum*. Najskuteczniej usunąć się daje drogą mechanicznego oczyszczania małym spiczastym kółeczkiem, albo sztywnym pędzelkiem. Po mechanicznym tym oczyszczeniu, zaleca się jeszcze zastosowanie odwaru nikotynowo - mydlanego. Skutecznym środkiem jest także pędzlowanie owadów 55 proc. spirytusem.

Zaznaczyć należy, iż czerwiec to bardzo groźny i trudny do wytepienia pasożyt, który się mnoży z zastraszającą szybkością i może w krótkim czasie zniszczyć roślinę.

Stalej prenumeratorko z Bukowic:

Przysłana przez Szan. Panią roślina nadeszła do nas w stanie takiego zepsucia, że nie mogliśmy jej przesłać kierowniczemu działu ogrodniczego, bawiącej obecnie na urlopie.

P. Helenie Woźniemskiej z Wilna.

Prawdziwą satysfakcję sprawił mi Jej list, na który odwrotnie odpowiadam.

Wiele z niego energja i chęć czynienia dobrze, ale to niestety w dzisiejszych czasach mało. Chcąc założyć intensywne, wzorowe gospodarstwo trzeba oprócz warsztatu mieć jeszcze dwie rzeczy t. j. fachowe przygotowanie, aby nie tracić czasu i pieniądze na naukę na własnej skórze i drugie, kapitał większy lub mniejszy, któryby pozwolił od razu gospodarstwo odpowiednio urządzić.

Niestety, żyjemy w szalenie ciężkich czasach, w których ruszyć coś z miejsca jest trudno, bo panuje gorsza może jeszcze od samego kryzysu psychoza zniechęcenia, która ipso fakto musi oddziaływać paraliżująco na najbardziej rzutkie jednostki. W tych warunkach coś zrobić, wywalczyć sobie niezależny kawałek chleba jest bardzo ciężko. Poza tem panuje u nas psycho-

togja „miejska“ i ocłowieku wsi mało kto się troszczy — ceny nie wytrzymują żadnej kalkulacji i bardzo często stoją poniżej kosztów produkcji, a podatki są stosunkowo bardzo duże.

Oczywiście kryzys nie może trwać wiecznie i kiedyś się musi to zmienić, ale dziś jest źle, a dawać komuś rady zakładania takiego czy innego przedsiębiorstwa, byłoby najwyższą lekkomyślnością, zwłaszcza nie znając bardzo dokładnie miejscowych warunków: odległości od ośrodków zbytu, stanu dróg, miejscowych cen i t. p. Jako pewnik trzeba jednak stwierdzić co następuje.

1) Konsumpcja warzyw stale wzrasta i prawdopodobnie stale wzrastać będzie, gdyż świadomość znaczenia ich dla organizmu dzięki szkołom i t. p. dociera dziś wszędzie.

2) Spożycie owoców jest u nas małe, a mimo to, gdy się chce zjeść np. dobre jabłko, sięgnąć trzeba po zagraniczne.

Znaczy to, że zarówno uprawa warzyw jak i uprawa drzew posiada u nas wszelkie szanse powodzenia. To samo dotyczy drobiarstwa. Eksport jaj wprawdzie walczy z wielkimi trudnościami, ale jakoś idzie. Zbyt na dobrze dotuczone kaczki, gęsi, indyki i t. p. jest zawsze.

Ale jak już zaznaczyłam, nie znając bardzo dokładnie miejscowych warunków, trudno coś radzić, gdyż taka rzecz jak zakładanie intensywnego gospodarstwa musi być bardzo dokładnie przeliczone.

Pamiętać trzeba, że zarówno owoce, jak i warzywa wymagają doborowej ziemi. To, że tam rósł las dębowy wskazuje, że jest to ziemia dobra, którą przy odpowiednim staraniu może dawać wysokie plony. Jednak ponieważ od kilku lat z tego, co W. Pani pisze, skąpiono tam nawozu i głównie obsiewano ją zbożami, wnioskować należy, iż ziemia jest ogłodzona, prawdopodobnie zachwaszczona i nie uprawiona, zakładanie sadu na takiej ziemi byłoby ryzykowne.

Drugi warunek jest ten, aby sad był ogrodzony, poczucie cudzej własności nie u wszystkich jest, uprzejmie się wyrażając, dość silne i t. zw. „napędne“ ogrody są narażone na częste kradzieże.

O tem, aby zakładać takie gospodarstwo i nie mieszkać samemu na miejscu, mowy niema, bo, aby osiągnąć jakieś rezultaty, trzeba samemu wszystkiego doglądać. Pierwszą więc rzeczą wydaje mi się postawienie domu mieszkalnego, oraz budynków gospodarskich.

Co do gospodarstwa mlecznego, to dziś stoi ono poniżej kosztów opłacalności, to samo dotyczy hodowli świń, z tym jednak, że za świnię przerobioną na wędliny, osiąga się dwa razy tyle, co za żywiec.

Pierwsza uwaga, która mi się nasunęła po przeczytaniu listu W. Pani, było to, że z niego widać, iż Sz. Pani niema jeszcze żadnej wytycznej, szuka po omacku i zbyt się rozprasza. Moim zdaniem na 5 ha można prowadzić jedynie gospodarkę jednokierunkową, t. zn. albo gospodar-

stwo mleczne, albo sad, z tym, że dopóki drzewka młode, to będzie się pod nimi uprawiać warzywa, a potem, gdy się rozrosną, poniecha się tej uprawy. Jednym słowem, jaknajdalej idąca specjalizacja, inaczej to tylko szarpanina nerwów i strata pieniędzy.

Gdyby Sz. Pani zdecydowała się założyć sad, to pamiętać trzeba, iż na Wileńszczyźnie handlowo traktować można tylko jabłko, inne owoce tyle co na własny użytek. Owoce wyłącznie zimowe, bo tych nam brak, uprawiane w 2 — 3 odmianach, aby mieć duże partje tego samego gatunku, co bardzo ułatwia zbyć.

Co do malin, porzeczek i truskawek, to pamiętać należy, że choć są to owoce poszukiwane, ale mają tę kardynalną wadę, że źle znoszą transport i stanowią produkt łatwo się psujący, nim się więc plantację tych krzewów założy, należy zbadać warunki zbytu i miejscowe ceny. Z drugiej strony zaletą ich jest to, że szybko dają plony, na które przy owocach trzeba czekać przynajmniej sześć lat.

Siew cebuli prosto do gruntu jest zawodny, bo bardzo dużo „strzela w baki“, t. j. w łodygi nasienne, stanowiąc produkt, który się nie daje przechowywać. Istnieje natomiast możliwość zakupywania w dużych zakładach ogrodniczych gotowej rozsady, przy zakupie większej ilości otrzymuje się znaczne zniżki cen.

Na dobrej ziemi można cebulę uprawiać w trzecim roku po nawozie z dodatkiem nawozów sztucznych. Cebula świeżego nawozu nie znosi.

Ziemia pod drzewka powinna być doskonale doprawiona uprawą okopowych, przy starannym zniszczeniu chwastów, a zwłaszcza perzu. Przynajmniej przez dwa lata z rzędu powinien być dawany nawóz w ilości co najmniej 50 wozów parokonnych na morgę, czyli na 1 ha dwa razy tyle. Ziemia przed zimą powinna być dwukrotnie zoraną, przyczem raz z pogłębieniem, aby ją poruszyć na 40 cm, nawóz powinno się dawać jesienią a nie wiosną i przykrywać go płytko.

Jablonie sadzić trzeba co 10 m w kwadrat, wychodzi ich wtedy około 150 na 1 ha. Krzewy co 2 m w kwadrat.

Kukurydza na tamtejszej ziemi powinna pójść dobrze, tylko trzeba ziemię głęboko poruszyć i bardzo silnie nawozić.

Mak należy do roślin zawodnych i bardzo wyniszczających ziemię.

Na zakończenie pozwałam sobie zwrócić Sz. Pani uwagę, iż dobrze by było, aby mając, według swoich projektów, jeszcze rok czasu, poświęciła takowy na zdobycie fachowych wiadomości. Osiągnąć to można własną pracą, przez studjowanie fachowej literatury, przez zapisanie się na korespondencyjne kursy ogrodnicze imienia Staszycy, przez odbycie praktyki we wzorowym gospodarstwie tego typu, względnie przez wstąpienie na jeden z licznie urządzanych kursów gospodarskich. Ale pierwszą rzeczą jest wytknię-

cie sobie jasno celu i kierunku w jakim się chce pójść.

Istnieje doskonała szkoła hodowli drobiu w Julinie, pocz. Łochów, założona przez ś. p. H. Paderewską. W Warszawie jest również szereg kursów pszczelniczo-ogrodniczych.

Z literatury polecić Sz. Pani mogę następujące książki:

- 1) Brzeziński „Uprawa warzyw“. Tomów dwa.
- 2) Brzeziński „Hodowla drzew owocowych“. Tomów trzy.
- 3) Mulczyński „Rolnik wzorowy“.
- 4) Karczevska „Hodowla świń“.
- 5) Trybulski „Króliki“.
- 6) Wiktoryni „Hodowla drobiu“.

Jednocześnie pozwolę sobie zwrócić Sz. Pani uwagę na cztery działy gospodarskie, t. j.: pszczelnictwo, które daje się kombinować z sadem, trzeba tylko zbadać, czy okolica jest t. zw. miododajna.

Hodowla zwierząt futerkowych, t. j. głównie piżmowców i lisów srebrzystych;

króliki angorskie. Istnieje w danej chwili duży popyt na wełnę tych stworzonek. Popularna fabryka włóczek „Trójkąt w Kole“ w Bielsku kupuje podobno każdą ilość. Warto się z nimi skomunikować i przekalkulować ceny jakie w danej chwili płacą.

Od października zeszłego roku weszły w życie taryfy celne nakładające wysokie opłaty wwozowe na ziola zagraniczne. Tym samym produkcja krajowa znalazła się w uprzywilejowanej sytuacji. Gdyby Sz. Panią ten dział interesował, to proszę napisać do p. Biegańskiego, Warszawa, Podwale Nr. 7 „Ziolo Polskie“ o informację, jakie ziolo i jak by można było na tamtejszym terenie uprawiać i jak się do tego zabrać. Plantacje ziół lekarskich są naogół dobrym interesem, wymagają jednak olbrzymiej dokładności i dużej ilości rąk roboczych, czyli, że warto je produkować tylko tam, gdzie robocizna jest tania.

Wszystkie dane co do hodowli piżmowców i lisów srebrnych, oraz angorskich królików, otrzymać W. Pani może w firmie hodowlanej „Serwecz“, Podkowa Leśna, pod Warszawą.

Miło mi będzie, jeśli Sz. Pani doniesie mi o dalszych swoich planach, a jaknajchętniej służę wszelkimi dalszymi wskazówkami.

Powtarzam raz jeszcze, że przede wszystkim trzeba sobie wytknąć jasny cel, potem zdobyć punkt oparcia, t. zn. postawić budynki, pamiętając, że wszystkiego trzeba dojrzeć osobiście, a następnie przystąpić do realizacji swoich planów z chłodną rozważą, ołówkiem w ręce i z fachowymi wiadomościami. Przeciwnościami się nie zrażać i każdą imprezę zaczynać najpierw na małą skalę, a dopiero gdy się doskonale wypraktykuje, rozszerzać dany dział. Pod żadnym pozorem nie rozpraszać się, tylko wybrać sobie jeden dział i ten forsować.

Życząc powodzenia, łączę wyrazy poważania.

Dom i gospodarstwo

ZMIENIAMY MIESZKANIE

Przeprowadzka nie jest rzeczą miłą, to prawda, ale również nie można jej uważać za tragedję. Jest to rzecz normalna i jako taka nie powinna budzić w nas odruchów buntu, przerażenia, ani sprzeciwu.

Wprawdzie utarło się twierdzenie, że kilka przeprowadzek równa się jednemu pożarowi (z punktu widzenia zniszczenia dobytku), ale twierdzenie to jest daleko posuniętą przesadą, szczególnie, jeżeli do tej odpowiedzialnej sprawy podejmiemy z należnymi jej względami.

Ideałem zmiany mieszkania, byłoby objęcie go w prawo rozporządzalności na pewien czas przed koniecznością opuszczenia dotychczasowego lokum.

Wówczas łatwo jest przeprowadzić wszystkie niezbędne remonty, odnowić to, co wymaga odświeżenia. Nie trzeba tulać się z pokoju do pokoju, wdychać wyziewów mokrych ścian, farby olejnej, współżyć z rzemieślnikami, jednym słowem można uniknąć gehenny wstępnego bytowania „na gruzach“.

Jeżeli to jest z jakichkolwiek względów niemożliwe, a w domu są drobne dzieci, trzeba koniecznie postarać się o umieszczenie ich na czas remontu poza domem.

Zresztą, zanim zaczniemy zwalczać trudności, związane ze wstępnym okresem bytowania na nowym mieszkaniu, musimy opuścić stare, a to jest sprawa wymagająca sprężystej organizacji.

Zdrowa filozofja życiowa każe doszukiwać się w każdej sytuacji dobrych stron.

Otóż „dobrą stroną“ tych uciążliwych przeżyć, będzie przeprowadzenie podstawowej sanacji inwentarza.

Każde mieszkanie, zajmowane przez szereg lat, staje się czasem na mniejszą, lub większą skalę, składem bezużyteczników. Jest cały szereg rzeczy, które zabierają miejsce bezcelowo. Są też i zastępy inwalidów, dla których z chwilą przeprowadzki nadchodzi radosny moment cudownego uzdrowienia.

Na pewien czas przed ruszeniem się z miejsca trzeba zrobić generalny przegląd i remont dobytku. Wszystkie bezużyteczniki, nawet te, których strzeże pewien sentyment, muszą być zlikwidowane. Co można sprzedać — sprzedać; czem możemy się komuś przysłużyć — podarować; co jest już naprawdę nie warte, to poprostu zlikwidować, albo oddać instytucji, zajmującej się gromadzeniem takich właśnie bezużyteczników domowych.

Taka sama rewja powinna być

zastosowana do garderoby i do wnętrza wszystkich: szaf, szuflad, pudełek, kufrów.

W czasie takiego przeglądu drobne rzeczy układamy w pudełkach, zaznaczając na każdym jego zawartość. Garderobę przyprowadzamy do porządku, pakujemy zawczasu rzeczy, które nie będą nam już potrzebne w okresie przedwyprowadzkowym. Staramy się przytem wszystkie rzeczy zabierać w stanie nienagannym, to znaczy: uprane, wyczyszczone, wyreperowane. W chaosie wstępnego bytowania na nowym mieszkaniu będzie i tak, aż za wiele do roboty, niechże więc garderoba domowników nie przysparza nam kłopotu.

Te same wskazania dadzą się zastosować do bielizny, firanek, serwetek, poduszek. Poprane i uprasowane, ułatwią nam szybkie doprowadzenie do porządku i stanu estetycznego nowego mieszkania.

Pakowania nie należy rozkładać na zbyt rozciągle raty, jednakże nie można go zostawiać całkowicie na ostatnią chwilę. Zresztą innego systemu wymaga przeprowadzka, którą kieruje pani domu, pracująca poza domem — innego, jeżeli jest stale na miejscu, a zasadnicze różnice stwarzają też i warunki materialne, które pozwalają, lub nie pozwalają na użycie fachowej pomocy zzewnątrz.

Jeżeli praca pozadomowa zmusza nas do rozłożenia pakowania na raty, rozpoczniemy ją na pewien, dobrze obliczony czas, przed dniem wywożenia rzeczy, pakując codziennie część inwentarza.

Więc: książki, drobiazgi, porcelanę, szkło (reprezentacyjne), zbędną garderobę, zapasy bielizny. Na ostatni ogień pójdą: naczynia kuchenne, serwis codzienny, zapasy żywnościowe i rzeczy, które będą niezbędne natychmiast po wyładowaniu w nowym mieszkaniu.

O ile możemy korzystać z pomocy „pakera“, trzeba mu przygotować wszystko tak, aby jego pracę ułatwić i przyspieszyć.

Więc: skrzynie, wiórki, papier, sznurki. Wszystko powinno być zgromadzone w jednym, lub dwóch pokojach i posegregowane. Wszystko ma się rozumieć musi być poczyszczzone, pomyte.

Zarówno wtedy, gdy pakujemy własnoręcznie, jak i wtedy, kiedy korzystamy z cudzej pomocy, trzeba sporządzać spis rzeczy, mieszczących się w każdej poszczególnej skrzyni, lub kufrze, starając się nie mieszać przedmiotów różnorodnych, a zachowywać pewną selekcję, co ułatwi nadwyrac

rozpakowywanie i rozmieszczanie przedmiotów na właściwym miejscu przy urządzeniu nowego mieszkania. Muszę zwrócić Paniom uwagę na fakt doniosły przy powierzaniu rzeczy zakładowi przewozowemu do ekspedycji kolejowej, odbywającej się pod nadzorem pakera, lub też na dłuższe przechowanie, a mianowicie: zawartość każdej skrzyni i każdego kufra powinna być znana przez pakera, a spis rzeczy znajdujących się wewnątrz skrzyń i kufrów piśmiennie przez niego potwierdzony, inaczej zakład za straty w rzeczach nie odpowiada.

Nie znając tego zwyczaju upakowałam, przenosząc się ze wsi do Warszawy, duży kufer różnych futer. Stał kilka tygodni, wraz z innymi rzeczami na składzie, a w chwili otworzenia okazał się prawie pusty.

Reklamacje nie odniosły żadnego skutku, odpowiedziano mi, że mogłam również dobrze zadeklarować brylanty, ale że nikt zawartości kosza nie znał, a zatem i płacić za nie nie mogą.

Wnosząc rzeczy do nowego mieszkania, rozmieścimy jedynie ciężkie meble na miejscach właściwych. Wszystko to, czego przeniesienie nie będzie przedstawiało trudności, umieścimy w jednym pokoju i będziemy przenosiły stopniowo po całkowitem doprowadzeniu poszczególnych pokoi do stanu używalnego.

Wybierając się w uciążliwą podróż, ze starego mieszkania na nowe, musimy pamiętać o tem, aby sobie zabezpieczyć jaknajmożliwszą egzystencję w okresie wstępnego dezorganizacji, a więc: możliwie wygodne posłanie; wystarczające nakrycie; konieczne naczynia kuchenne; przybory toaletowe; zmianą bielizny i ubrania; niezbędne drobiazgi. Wszystkie te rzeczy powinny być zapakowane oddzielnie, powinny być „pod ręką“, gdyż wydobywanie ich ze skrzyń, kufrów wprowadziłoby nieład i przysporzyło wiele niepotrzebnego trudu. Ze wskazań psychologicznych nasuwa się jedno: nie należy poddawać się przeświadczeniu, że ściany, w których mamy usłać gniazdo, będą nam zawsze obce, a doprowadzenie ich do stanu mieszkalnego jest rzeczą trudną do przewyciężenia i bardzo, bardzo daleką. Jest to wrażenie zrozumiałe, usprawiedliwione przemęczeniem i chwilową dezorganizacją życia, jednakże trzeba mu się oprzeć, a nowe gniazdo słać pod znakiem optymizmu, gdyby nawet żał po utracie dawnego był usprawiedliwiony.

Wanda Dobrzańska

Przepisy gospodarskie

Zapasy jesienne.

Konfitury z dereńiu. Dojrzały, ale nie przejrzały, dereń, oplókać w zimnej wodzie, wydrążyć. Drażyć można szpilką, albo też gęsiem piórem, przyciętem tak, aby miało wyraźny otwór. Piórem przebijają się owoce dereńiu na wylot — pestka powinna zostać w otworze pióra.

Przygotować syrop, biorąc na 1 kg. wydrążonego owocu 2 kg. cukru i 2 i pół szklanki wody. Syrop po zagotowaniu wyszumować starannie i smażyć na wolnym ogniu około 5 minut. Wrzucić owoc w wrzący syrop, zagotować, odstawić, a po 5 minutach powtórzyć to samo. Dalej smażyć na wolnym ogniu około 20 minut. Gdy jagody są przezroczyste i lśniące, konfitura gotowa.

Po wystudzeniu, złożyć w słoiki, przykryć konfitury krążkiem bibułki umoczonej w araku, owinąć pergaminem. Przechowywać, jak wszystkie konserwy, w suchej, chłodnej szpiżarni.

Konfitury z berberysu. Drobniotkie owoce berberysu są bardzo uciążliwe do drażenia, jednakże konfitura ta jest nietylko wybitnie smaczna, ale i bardzo piękna dla oka, dzięki swojej żywej barwie. Nadaje się doskonale do misternych przybrań tortów i marcepanów.

Dojrzały berberys oplókać przed obraniem z gronek w zimnej wodzie. Rozsypać jedną warstwę na płótnie, obsuszyć. Poobrywać jagódki z gronek. Wydrążyć szpilką pojedynczą, albo bardzo cienką wykałaczką drewnianą. Zrobić gęsty syrop, biorąc trzy razy tyle cukru ile zaważą wydrążone owoce. Wody bierze się 2 i pół szklanki na 1 kg. cukru.

Owoc rzucić na wrzący, wyszumowany syrop. Smażyć odstawiając z ognia trzykrotnie po każdym zagotowaniu, poczem dosmażać na wolnym ogniu 15 minut, ciągle szumując.

Wystudzony, składać w słoiki, przykrywać bibułką, maczaną w araku.

Konfitury z glogu. Duży, dojrzały głóg wymyć w zimnej wodzie, obsuszyć, ściać czubki, wydrążyć starannie, znów wymyć w paru wodach i osączyć.

Zważyć wydrążony owoc. Wziąć drugie tyle cukru. Przyrządzić gęsty syrop (na 1 kg. cukru, 2 i pół szklanki wody), wyszumować. W międzyczasie włożyć głóg w płaski, duży rondel, zalać go zimną wodą i zagotować na bardzo wolnym ogniu, raz jeden. Inaczej popęka. Zagotowany wylać na sito, przelać zimną wodą, osączyć.

Obgotowany głóg rzucić na wrzący syrop, smażyć na wolnym ogniu 20 minut. Zlać na szeroką salaterkę, wystudzić. Dwa dni z rzędu smażyć po 10 minut; czwartego dnia już tylko 5 minut. Wystudzić, złożyć w słoiki. Dalej postępować, jak wyżej.

Konfitury z jabłuszek rajskich. Wybrać jabłuszkę rajską gładką, bez plam, dojrzałą, ale nie przejrzałą. Umyć czysto w zimnej wodzie, obsuszyć. Odjąć ogonki. Jabłuszkę ponakłuwać drewnianą wykałaczką, włożyć w zimną wodę i zagoto-

wać na bardzo wolnym ogniu, uważając, aby nie popękały. Obgotowane, przelać zimną wodą, osączyć.

Na 1 kg. jabłuszek wziąć 1 kg. cukru i 2 i pół szklanki wody. Zagotować, wyszumować. Wystudzonym syropem zalać doskonale osączone z wody jabłuszkę, które trzeba ułożyć w dużej salaterce, albo wazie. Na drugi dzień odlać syrop, dodać 1/4 cukru, zagotować, wyszumować. Zalać jabłuszkę letnim syropem. Na trzeci dzień znów zlać syrop, dodać 1/4 kg. cukru, zagotować, wyszumować. Rzucić jabłuszkę w wrzący syrop, smażyć na wolnym ogniu nie dłużej, jak 5 minut. Wylać na salaterkę, ostudzić, składać w słoiki.

Konfitury z melona. Wybrać aromatyczny melon napół dojrzały. Przeciąć na pół, oczyścić łyżką środek, zdjąć wierzchnią skórkę. Pokrajać melon w średniej wielkości kawałki, najlepiej w formie czworokątnych klocuszków. Włożyć do płaskiego rondla, zalać zimną wodą, dając jej tyle, aby przykryła owoc. Trzymać na ogniu 15 minut, wylać na sito, przelać kilkakrotnie zimną wodą. Osączyć, pozostawiając na sicie co najmniej 1/2 godziny, aby woda całkowicie ściekła, a owoc obsechł. Osączonego melona włożyć na płaską salaterkę, skropić bardzo obficie arakiem. Przykryć, pozostawiając 2 godziny.

Przygotować syrop, biorąc na 1 kg. melona półtora kilograma cukru i tylko tyle wody, ile cukier wchłonie. W zagotowany i wyszumowany syrop włożyć melon. Smażyć najpierw na ostrym ogniu, później na wolnym, aż do chwili, kiedy syrop będzie zupełnie gęsty.

Śliwki węgierki zielone. Zielone śliwki węgierki, na których nie uformowała się jeszcze barwa, włożyć w rondel, zalać wrzącą wodą, przykryć i trzymać tak dłuższą chwilę. Gdy skórka już łatwo odchodzi zacznie, wyjmować po jednej śliwce, obierać ją nożykiem z wierzchniej skórki i rzucać do zimnej wody.

Gdy wszystkie śliwki już są obrane, zlać z nich wodę, zalać świeżą, zimną wodą, postawić w bardzo zimnej piwnicy, albo w lodowni, na dwanaście godzin.

Po upływie tego czasu wylać na sito, doskonale osączyć.

Przygotować syrop, biorąc na każdy kilogram śliwek półtora kilograma cukru i 2 i pół szklanki wody. Syrop zagotować, wyszumować, wrzucić osączone śliwki. Smażyć na wolnym ogniu, zestawiając od czasu do czasu dla dokładnego wyszumowania. Z chwilą, gdy szumowiny przestaną się ukazywać, śliwki są gotowe. Zdjąć je wówczas z ognia i pozostawić do drugiego dnia. Nazajutrz smażyć jeszcze 10 minut, wystudzić, składać w słoje.

Pomidory zielone w konfiturze. Zupełnie zielone pomidory poprzekrawać, wyjąć wszystkie pestki, włożyć do rondla, zalać zimną wodą, zagotować. Wyjmować z wody łyżką durszlakową i układać na brzegu półmiska, aby doskonale ociekły z wody. Na każdy kilogram pomidorów wziąć 1 kilogram cukru, 2 szklanki wody, jedną cytrynę pokrajaną w plasterki i oczyszczoną z pestek. Zrobić syrop, wyszumować. Wrzucić plasterki cytryny, gotować

5 minut. Wyjąć z syropu plasterki cytryny, zalać wrzącym pomidory ułożone na dużej misce kamiennej polewanej, albo fajansowej. Niech tak stoją do drugiego dnia.

Nazajutrz wylać pomidory z syropem na miedniczkę od smażenia konfitur, wysypać cukier, licząc znów po jednym kilogramie cukru na jeden kilogram pomidorów, smażyć do zwykłej gęstości syropu, a na parę minut przed zdjęciem z ognia, dodać jeszcze soku wyciśniętego z cytryny, kierując się co do ilości smakiem.

Śliwki węgierki marynowane w occie. Proporcja: półtora kilograma śliwek węgierki, 2 i pół szklanki mocnego octu winnego, 50 dkg. cukru kryształu, 8 goździków, mały kawałek cynamonu.

Dorodne, twarde, zdrowe węgierki oczyścić z barwy, ułożyć w dużej misce fajansowej, albo porcelanowej. Zagotować ocet z cukrem, wrzącym zalać śliwki, przykryć talerzem, albo półmiskiem i pozostawić tak na 24 godziny. Po upływie tego czasu wyjąć śliwki z octu, ułożyć w garnku kamiennym, albo w słoju szklanym, ocet jeszcze raz zagotować, dodając goździki i cynamon. Lekko przystudzonym octem zalać owoce, a gdy całkowicie wystygną, owinąć i przechowywać jak wyżej.

Gruszki w marynacie. Proporcja: półtora kilograma gruszek, 2 i pół szklanki wyborowego octu winnego, 50 dkg. cukru kryształu, kilka goździków, kawałek cynamonu.

Na marynatę używa się gruszki muszkatołki, albo bergamoty, wszystkie jednej wielkości i dojrzewające, niezbyt dojrzałe.

Gruszki trzeba obrać cieniutko ze skórki, przekrajać na połówki, wydrążyć małą okrągłą łyżeczką środki. W czasie obierania wrzucić gruszki do wody lekko zakwaszonej sokiem cytrynowym, aby nie straciły koloru.

Zagotować ocet z cukrem, wrzucić w niego osączone z wody gruszki, gotować na wolnym ogniu 10 minut, poczem wylać na miskę, przykryć i pozostawić tak do drugiego dnia. Po upływie doby wyjąć gruszki z octu, ułożyć je w garnku kamiennym, ocet jeszcze raz przegotować, dodając goździki i cynamon, lekko wystudzić, zalać owoce. Po całkowitem wystudzeniu owinąć, przechowywać jak wyżej.

Borówki. Proporcja: 5 kg. borówek, 5 kg. cukru, 7 szklanek wody, łaskę wanilii. Przebrać starannie borówki, odrzucając wszystkie niedojrzałe i nadpsute. Wymyć w kilku wodach, osączyć na sicie.

Zalać cukier wodą, zagotować i doskonale wyszumować syrop. Na wrzący syrop rzucić wanilję i wsypać borówki. Gotować na ostrym ogniu 5 minut, odstawić, a gdy opadną, postawić rondel na wolnym ogniu i smażyć jeszcze 15 minut powoli. Po usmażeniu wyjąć wanilję, borówki jeszcze ciepłe zlać w garnki kamienne, gdyż po wystygnięciu galaretują się.

Można też smażyć borówki, zamiast z wanilją, ze skórką pomarańczową, którą dodaje się w czasie smażenia. Używać skórki osmażonej w cukrze, krajanej w wąskie paseczki.

Melba.

**DZIECI POLSKIE Z CZECHOSŁOWACJI
NA KOLONJI LETNIEJ „OSIEDLA”**

Od kilku tygodni przebywa na kolonji letniej „Osiedle” w Otwocku dziesięcioro dzieci polskich z Orłowej, w Czechosłowacji. Komitet Opieki nad mieszkańcami osiedli miejskich „Osiedle” udzielił tym dzieciom gościny i dzieci te korzystają, narówni z dziećmi naszych bezrobotnych, z racjonalnie prowadzonej kolonji. Dom kolonijny Komitetu „Osiedle”, na którego czele stoi pani Marszałkowa A. Piłsudska, czyni zadość nie tylko wszelkim wymogom zdrowotnym, ale i pod względem wychowawczym osiąga bardzo dodatnie rezultaty. Corocznie zwyż tysiąc dzieci korzysta tu z fachowej opieki pedagogicznej, prowadzonej według planu, wypracowanego przez Przewodniczącą Sekcji Kolonji i Półkolonji „Osiedla”, p. H. Sujkowską.

W związku ze Zjazdem Polaków z Zagranicy, dzieci polskie z Czechosłowacji, przebywające na kolonji „Osiedla”, przybędą na dwa dni do Warszawy. Koszt przewjazdu i utrzymanie dzieci poniesie „Osiedle”, a dzieci pod opieką pań z „Osiedla” zwiedzą miasto. Poznanie Stolicy Polskiej, która nie zapomina o Polakach z zagranicy, będzie miało dla tych dzieci, wychowujących się wśród obcych, ogromne znaczenie. Uświadomi ich o Polsce, na której opiekę zawsze mogą liczyć.

Dzieci polskie z Czechosłowacji powrócą więc do swoich domów nie tylko ozdrowione, dzięki troskliwości Komitetu „Osiedle”, ale i pełne wrażeń z pobytu w kraju macierzystym.

NOWY NUMER 15

DWUTYGODNIKA ILUSTROWANEGO

Uroda

TO:

RATUNEK DLA ZDROWIA
NADZIEJA DLA MŁODOŚCI
PRZYJACIEL DLA URODY
RADOŚĆ DLA OKA

JUŻ JEST W SPRZEDAŻY CENA 50 GR.

WYTWÓRNIĄ FORM BIBUŁKOWYCH

TOW. WYD. „BLUSZCZ”

„Moja Krawcowa”

posiada na składzie formy bibułkowe wszystkich modeli zaopatrzonych numerem i literą podawanych w „Bluszczu”.

Dobra forma bibułkowa jest niewątpliwie podstawą każdej eleganckiej sukni, jeśli pani tę suknię szyje sama, lub przy pomocy domowej krawcowej, należy więc stanowczo przed skrojeniem sukni, palta czy kostjumu zamówić formę bibułkową. Zrobić to trzeba w następujący sposób: po wybraniu modelu porównać swoją miarę z jedną z podanych wielkości.

wielkość I gors (połowa) 44 cm., biodra 50 cm.

wielkość II gors (połowa) 48 cm., biodra 52 cm.

wielkość III gors (połowa) 56 cm., biodra 60 cm.

i na zwykłej karcie pocztowej wypisać numer i literę oraz jego wielkość. ceny form bibułkowych są następujące:

katęgorja I: suknie, palta, kostjумы, szlafroki, piżamy — zł. 1.50

katęgorja II: spódnice, bluzki, bielizna, formy dziecinne — zł. 1.—

Przesyłka pocztowa 50 gr.

Równocześnie z zamówieniem trzeba przelać należność przekazem pocztowym lub na konto P. K. O. 170. Forma zostanie wysłana natychmiast po otrzymaniu należności

Zamawiającym za pobraniem pocztowym dolicza się koszty przesyłki w sumie 1 zł. 35 gr.

UWAGA: Wytwórnia „Moja krawcowa” podejmuje się również wykonania form bibułkowych do dostarczonych modeli z innych pism w cenie 2 zł. 50 gr. za formę kateg. I i 2 zł. za kateg. II.

*Do wytwórni form bibułkowych
„Moja krawcowa”*

ZAMÓWIENIE:

Proszę o dostarczenie według adresu wskazanego na odwrocie następujących form bibułkowych:

Sztuk	Palto model	wielkość	cena zł. 1.50
„	Suknia model	wielkość	„ „ 1.50
„	Kostjum model	wielkość	„ „ 1.50
„	Szlafrok model	wielkość	„ „ 1.50
„	Piżama model	wielkość	„ „ 1.50
„	Bluzka model	wielkość	„ „ 1.—
„	Matinka model	wielkość	„ „ 1.—
„	Spódnica model	wielkość	„ „ 1.—
„	Bielizna damska model	wielkość	„ „ 1.—
„	Bielizna męska model	wielkość	„ „ 1.—
„	Forma dziecięca model	wielkość	„ „ 1.—

Ogólną sumę zamówienia zł. gr. wpłacam równocześnie na konto P. K. O. 170. — przesyłam przekazem pocztowym (niepotrzebne skreślić)

(podpis)

Najmilszym przyjacielem jest dobra książka
największą ozdobą każdej biblioteki jest pięknie wydana książka
najdostępniejszą rozrywką jest tania książka

Dobre, piękne i tanie książki
wydaje Tow. Wyd. „BLUSZCZ”
Ostatnio ukazała się książka
Jadwigi niewnarskiej p. t.

Najdziwniejszy z romansów pani Sand

Do nabycia we wszystkich księgarniach

CENA 6 zł.

Wszystkim Paniom polecamy

doskonałe książeczki wydawnictwa

„Życie Praktyczne”

Zbiór i przechowywanie owoców

Potrawy z jarzyn

Co można zrobić z mleka

Co można zrobić z owoców

Co trzeba wiedzieć o grzybach

Potrawy i konserwy z grzybów

Potrawy z kartofli

Salaty i sałatki

Zimne leguminy

Jarzyny na zimę

Książka kucharska dla oszczędnych gospodyń

Kuchnia dziecięca

Nalewki i likiery

Drób i sposoby przyrządzania

Hodowla i tuczenie drobiu

Jarstwo i surówka

Obiady na maszynie

Wina owocowe

Zimne napoje

Zimne zakąski

Wyrób serów

Pieczywo domowe

Sto potraw z jaj

Zioła lekarskie najlepszym źródłem dochodu

Cukierki i słodycze

Potrawy z cielęciny

Drobne ciasteczka

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszyst. większych księg.

Konto P.K.O. 12.200

Cena każdej książeczki 1 zł.

z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

KARTA POCZTOWA

NADAWCA:

Nazwisko i imię

Adres

Znaczek
za
20 gr.

Do
wytwórci
form bibulkowych

„MOJA KRAWCOWA”

Tow. Wyd. „BLUSZCZ”

Świętokrzyska 17 m. 3.

WARSZAWA

Wydawnictwo

„ŻYCIE PRAKTYCZNE.”

POLEGA
DOSKONAŁĄ
KSIĄŻKĘ

p. t.

„**POTRAWY
Z JARZYN**”

która zawiera 29 przepisów przyrządzenia potraw z jarzyn.

Cena 1 zł. z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”
Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17.
Konto. P. K. O. 12.200.

Jak wykonać cały szereg
wykwintnych, modnych
rzeczy, nauczy Panie książeczka pod tytułem:

„**ARTYSTYCZNE PIKOWANIE**”
w oprac. T. Głębockiej

Cena 1 zł. 50 gr. z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz” Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich większych księgarнях. Konto P.K.O. 12.200